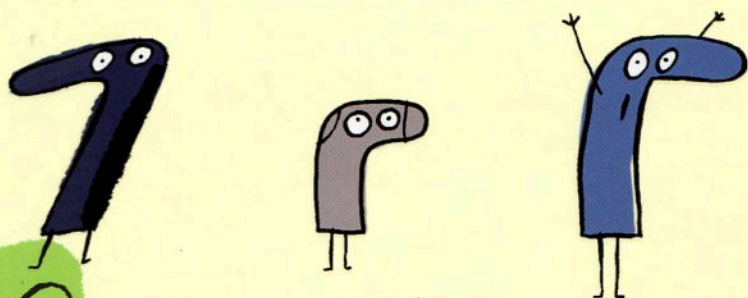


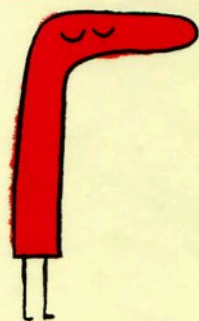
Justyna Bednarek



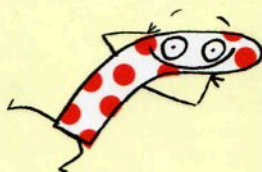
Niesamowite przygody



DZIESIĘCIU SKARPETEK

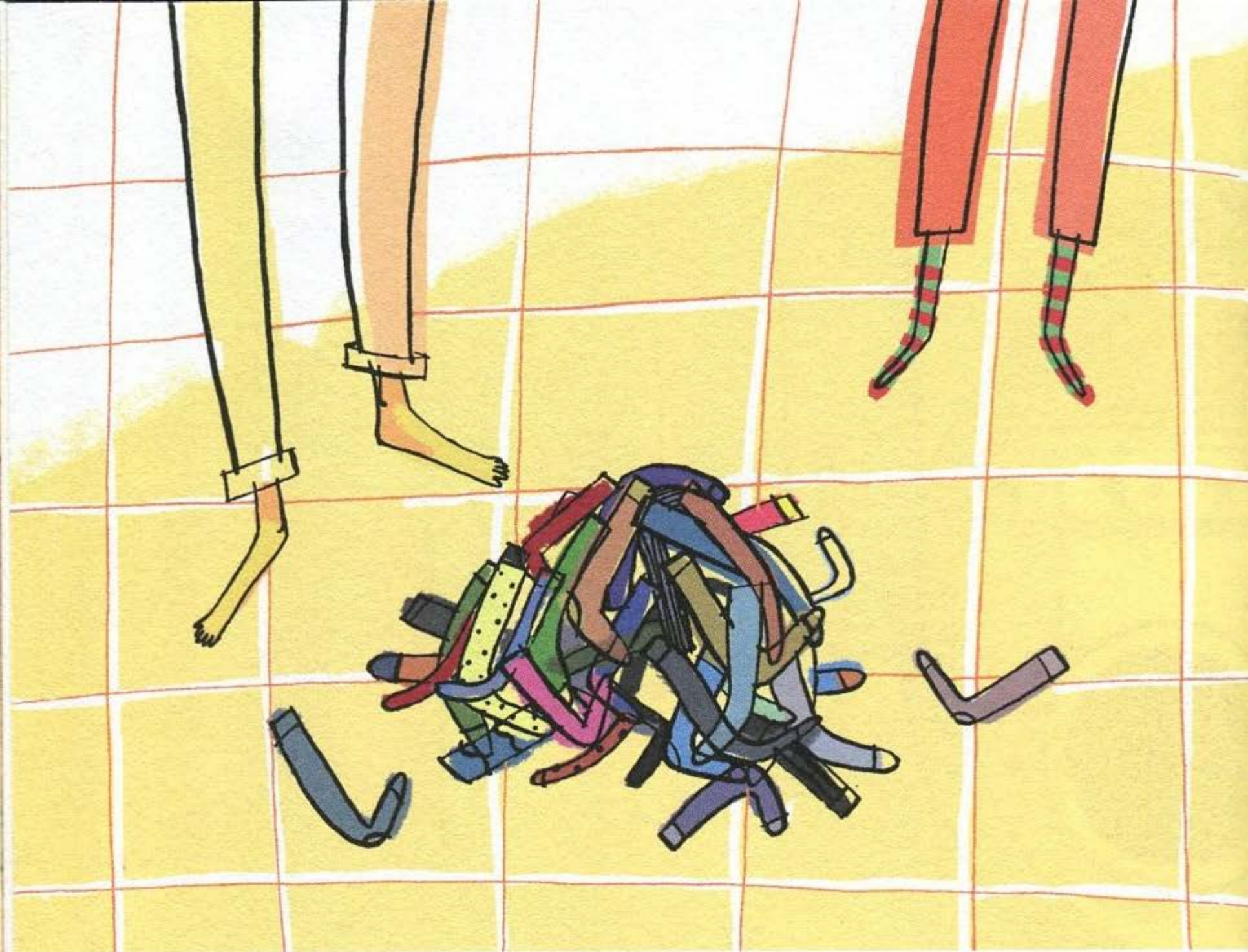


(czterech prawych i sześciu lewych).



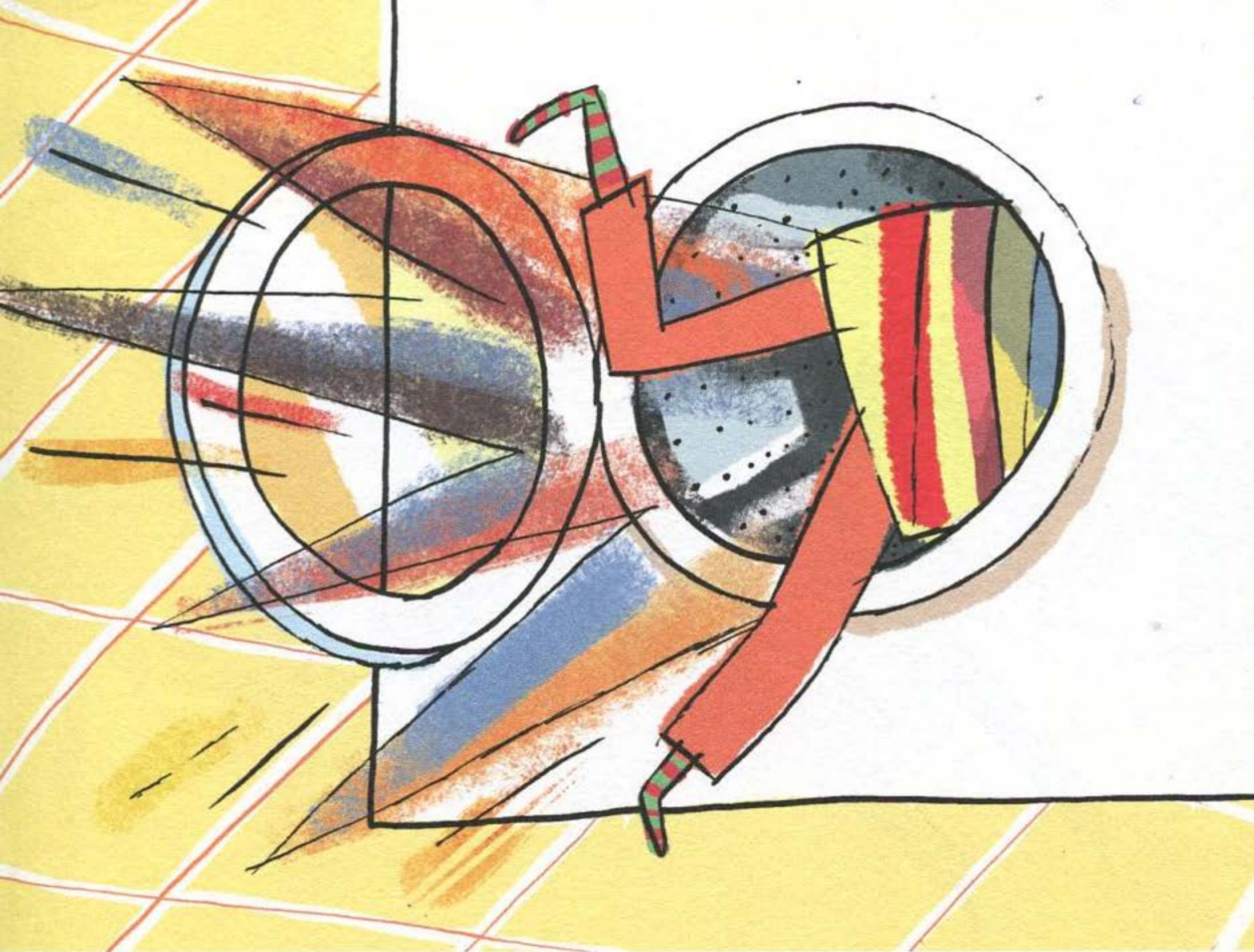
Poradnia K

z ilustracjami Daniel de Latour



– Naprawdę nie wiem, gdzie się gubią... – Mama patrzyła na piętrzący się na środku łazienki stos pojedynczych skarpetek. – Przecież do pralki trafiają zawsze dwie, a potem okazuje się, że jedna gdzieś znika. Przez ostatnie lata uzbierałam ogromny wór skarpet bez pary! A to znaczy, że gdzieś w tym domu ukrywa się cała armia pojedynczych skarpet...

– Może pralka je pożera – zastanawiała się Basia, nazywana przez rodziców po prostu Be, bo tak było krócej. – Albo co druga skarpetka rozpuszcza się w wodzie...



– Wydają się strasznie samotne, kiedy tak sobie leżą... – westchnęła Mama.

– Mówię ci, że to wina tej żartoczonej maszyny – zadudniła Be z bębna pralki, do której wsunęła głowę, żeby sprawdzić, czy aby nic nie zostało w środku.

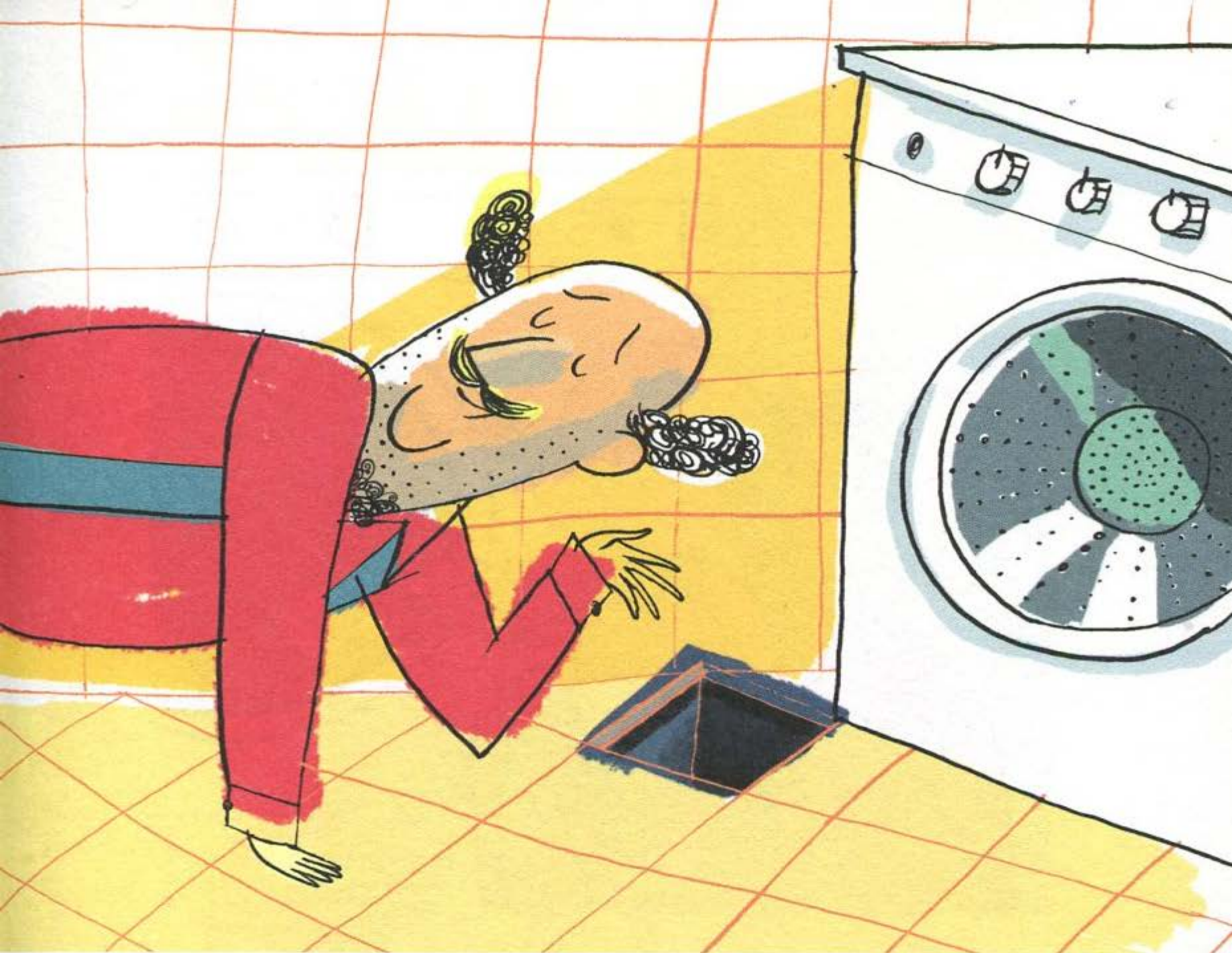
– Być może masz rację. A jeśli tak, to jedyną osobą, która może nam pomóc, jest hydraulik. – Mama podeszła do telefonu i zadzwoniła po hydraulika.



Hydraulik najpierw pralkę opukał, potem wyjął filtr, wyczyścił go, zajrzał do silnika, sprawdził pasek klinowy. Następnie poprosił o herbatę, obwąchał gumowy kołnierz, pomanipulował pokrętkami i guziczkami, podrapał się w głowę i jeszcze raz obstukał bęben.

– Zajrzyjmy pod spód – powiedział w końcu. – Może one po prostu wpadają pod pralkę.

Wspólnymi siłami, wraz z Mamą i małą Be, przesunęli urządzenie. Ale nie znaleźli ani jednej skarpetki, za to okazało się, że w podłodze jest dość spora dziura.



- No proszę - twarz hydraulika rozjaśniła się w tryumfalnym uśmiechu. - I już wiemy, co się stało.

- A co się stało? - zapytały jednocześnie Mama i Be.

- Zwiały, cwaniary! - Fachowiec wsadził palec w dziurę, ale niczego nie wymacał. - Po prostu skarpety dały nogę. Nic tu po mnie, miłe panie, nie pomogę. Jeśli skarpeta wybiera wolność, to jestem bezsilny.

- Ale dokąd one uciekły? - spytała Be.



– A tego to już niestety nie wiem, ale doświadczenie życiowe podpowiada mi, że mogą być absolutnie wszędzie! – Hydraulik spakował śrubokręty, zainkasował należność, zsalutował i poszedł, zostawiając Mamę i Be z kolekcją samotnych skarpetek.

– Mam nadzieję, że nic im się nie stanie i że kiedyś wrócą do domu – szepnęła Be.

- Będziemy na nie czekać - powiedziała uroczyście Mama
i objęła córkę ramieniem.



powieść o skarpetce pierwszej,
która wygrała casting,
dobyła rolę w popularnym serialu,
i została prawdziwą
gwiazdą



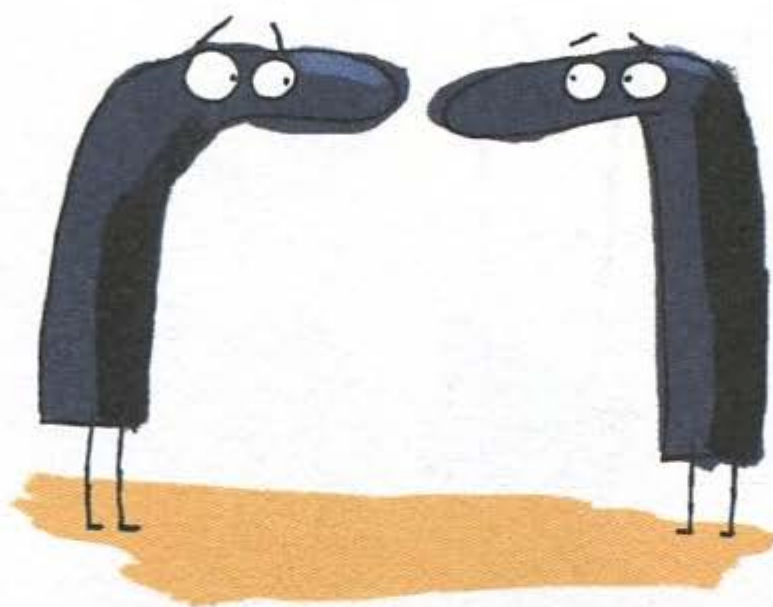
Zapewne jesteście ciekawi, co się stało ze skarpetkami, które – hydraulik miał rację! – rzeczywiście wybrały wolność.

Zacznijmy od bardzo eleganckiej lewej skarpety, którą Tata małej Be otrzymał kiedyś w prezencie od swojego teścia. Skarpetka była bardzo wysokiej jakości, urodziwa, jedwabna, czarna jak skrzydło kruka i zdecydowanie źle się czuła w worku z brudną bielizną.

– To nie jest towarzystwo dla mnie – szepnęła do swojej prawej siostry bliźniaczki, odsuwając się z niechęcią od dość nieświeżego podkoszulka, który opowiadał właśnie głupie dowcipy i sam się z nich głośno zaśmiewał.



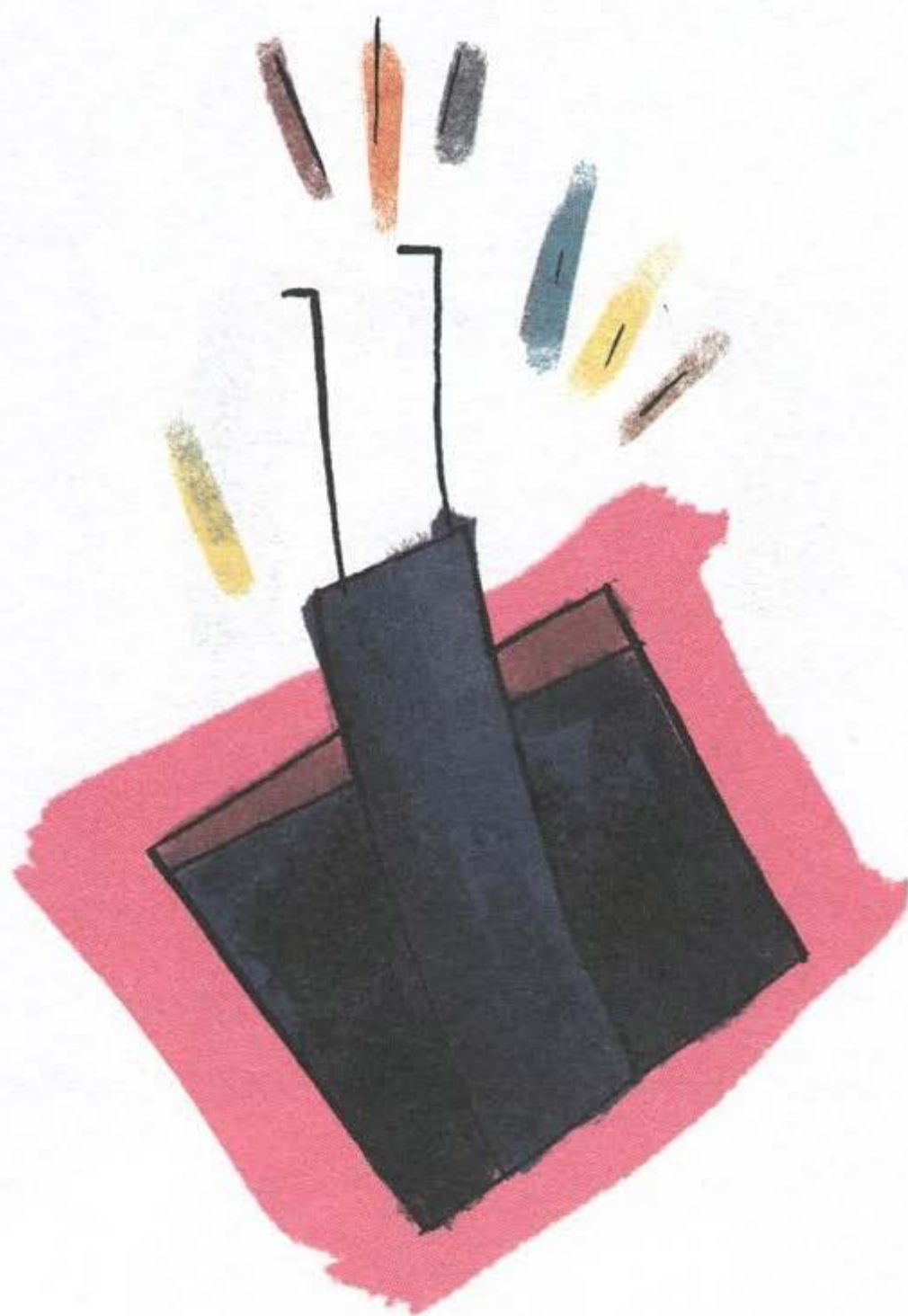
- Ej, nie zadzieraj nosa - krzyknął podkoszulek do lewej jedwabnej skarpetki. - Tutaj nie ma bardziej i mniej brudnych, wszyscy elegancko powędrujemy do pralki, czy to ci się podoba, czy nie!



- Sama widzisz - mruknęła jedwabna skarpetka. - Ja się tu duszę, ginę. Nie gniewaj się, kochana, ale muszę cię opuścić. Ruszam w świat, gdzie czekają na mnie wielkie możliwości i kariera.



Jak powiedziała, tak też zrobiła.



Wyskoczyła z wiklinowego kosza i po chwili zniknęła w dziurze pod pralką. Z drugiej strony powitał ją piękny, kolorowy, kwitnący świat. Zachwycona skarpeta szła, szła i szła ulicami miasta, aż tu patrzy – wielki plakat. A na nim napisane jest tak:



UWAGA, UWAGA

— casting do serialu!

*Jeśli jesteś młoda, ładna, zgrabna
i od dziecka marzyłaś o tym,
by zostać aktorką,*

*zapraszamy cię na próbne zdjęcia
do serialu telewizyjnego!*





– To jest właśnie coś dla mnie – ucieszyła się jedwabna skarpetka i stanęła w kolejce pięknotek, które również przyszły na zdjęcia próbne.

Kolejne dziewczyny wchodziły do niewielkiego pokoiku, gdzie siedział pan reżyser w towarzystwie dwudziestu asystentów. Niestety, żadna nie pasowała do roli – jedna była zbyt niska, inna miała kiepską dykcję.

Gdy nadeszła kolej naszej skarpetki, dumnie wypięła piętę, obciągnęła palce i pewnie stanęła przed reżyserem. Ten spojrzał na nią bez przekonania, dyskretnie ziewnął, a potem poprosił:

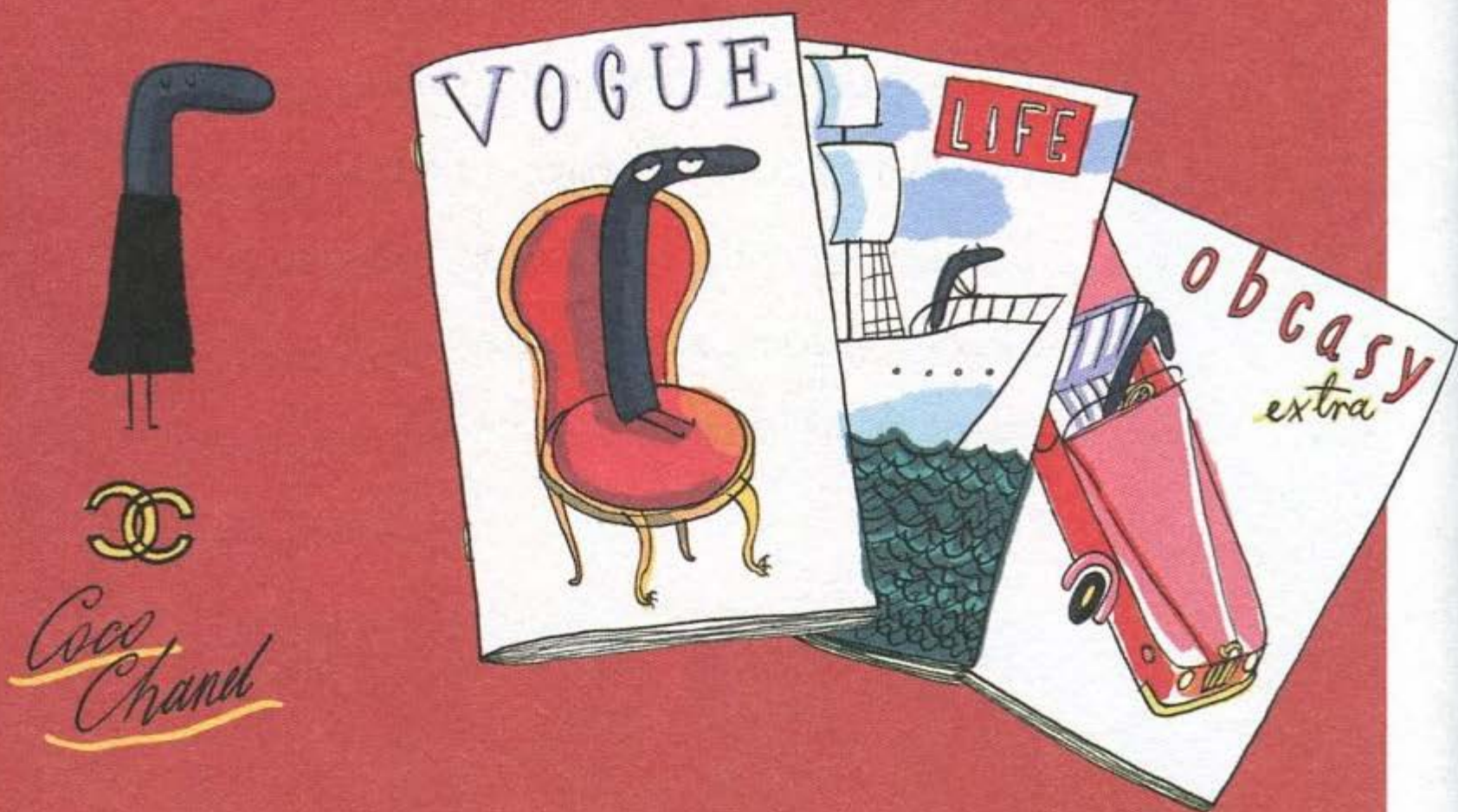
- Niech nam pani coś zadeklamuje, byle to nie było o tym, no...
- Pani Marzenko, jak się nazywa to coś, czego już nie chcemy?
- Świerzop – odpowiedziała pani Marzenka.
- No więc o wszystkim, byle nie o świerzopie. Niech pani zaczyna!

Jedwabna skarpetka chwilę pomyślała, a potem wyrecytowała z uczuciem:

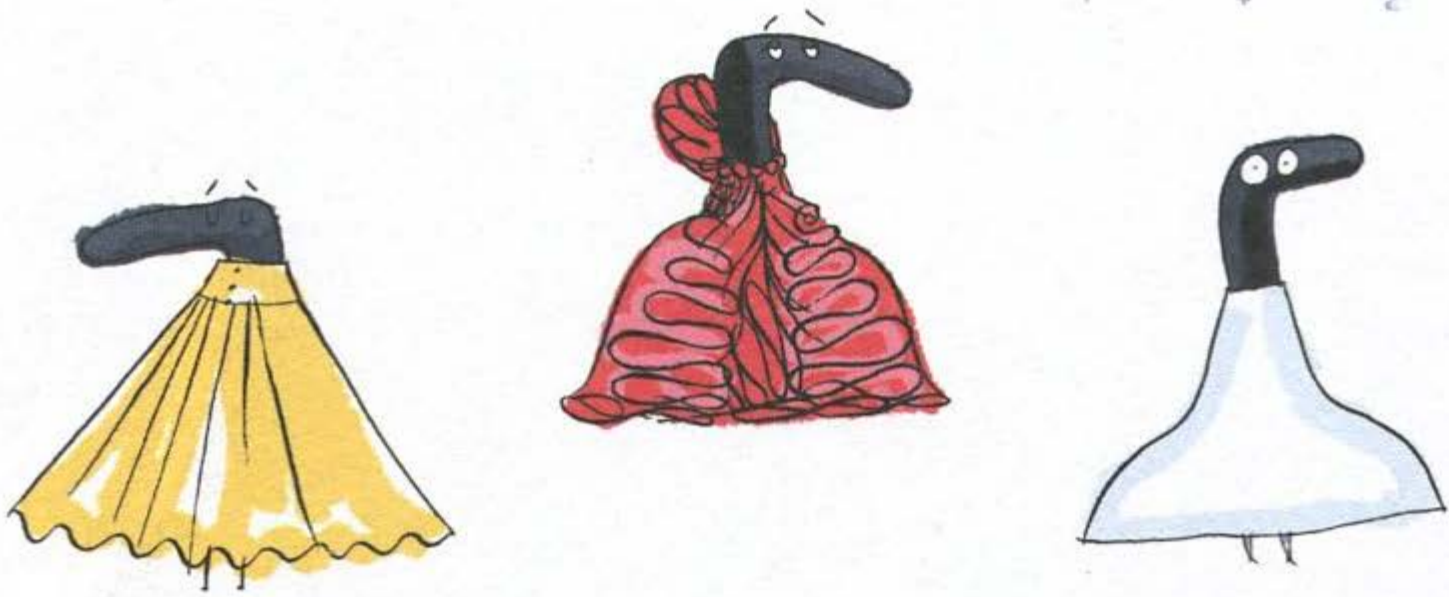
„Życie skarpetek jest bardzo trudne:
albo dziurawe są, albo brudne.
Spać muszą w butach, bądź też w szufladzie.
Rzadko w porządku, często – w nieładzie.
Nie chcę się skarżyć na swą niedolę,
lecz na skarpetki dybią wciąż mole!
Czasem niejedna z nas smętnie jęknie:
tkwiące w nas stopy nie pachną pięknie.
A więc nie patrzcie na nas ukosem,
gdy uciekamy przed takim losem.”



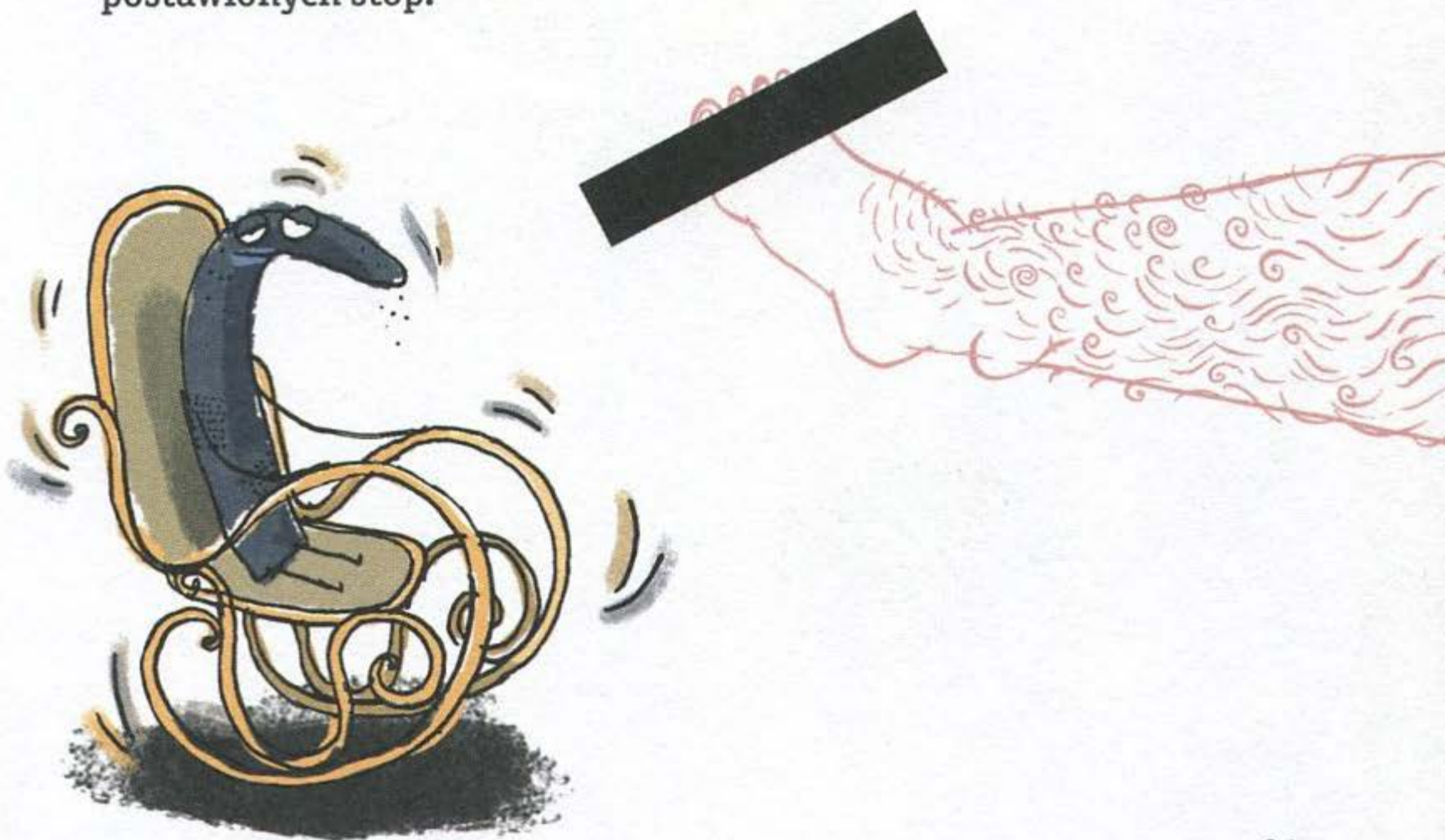
– To mi się podoba! Brawo, bravissimo! – Reżyser z zachwytu uderzył pięścią w stół, a jego asystenci dyskretnie otarli łzy wzruszenia i pociągnęli dwudziestoma nosami. – Ma pani tę rolę! Ręczę, że zostanie pani gwiazdą przez wielkie „G”!



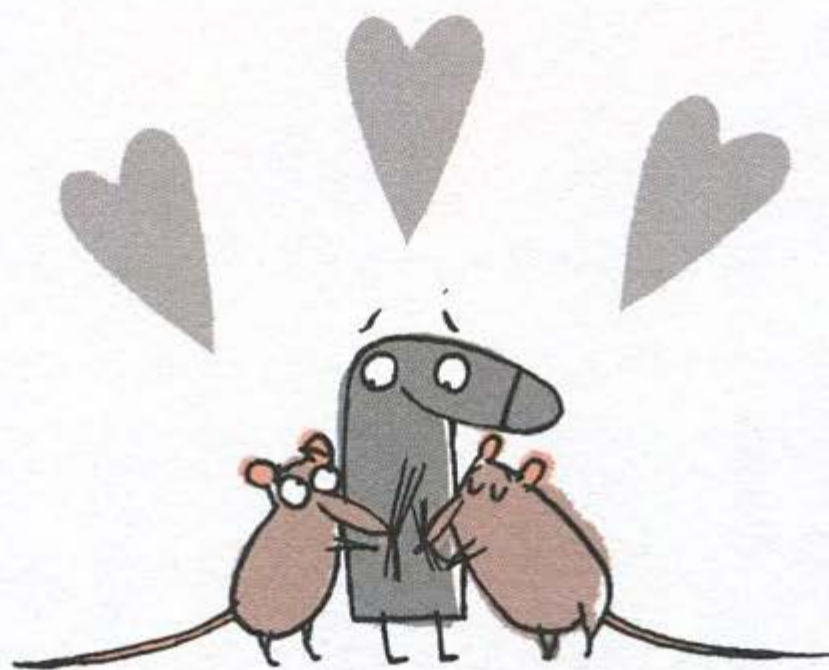
Tak też się stało. Rola w serialu przyniosła jedwabnej skarpetce sławę i uznanie. Udzielała wywiadów, jej fotografie trafiały na okładki kolorowych magazynów, a projektanci mody szyli dla niej suknie. Z jednym z nich przez pewien czas była nawet zaręczona i planowała ślub, ale ich związek nie przetrwał zbyt długo. Skarpetce zależało bowiem przede wszystkim na karierze.



Z biegiem czasu, gdy zaczęła się tu i tam delikatnie przecierać, zafundowała sobie wzmocnienie pięty jedwabną nicią w luksusowej cerowni. A gdy była już całkiem wiekową skarpetą i trzeba było ustąpić miejsca nowym, młodszym gwiazdom, napisała pamiętniki, które wywołały prawdziwy skandal: wyjawiała w nich bowiem pikantne szczegóły na temat różnych wysoko postawionych stóp.



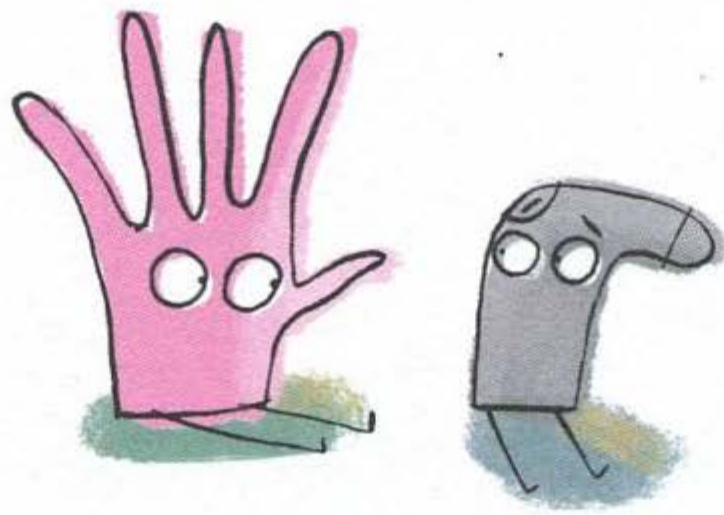
Opowieść o skarpetce drugiej,
która uratowała mysie sieroty
przed groźnym ptakiem
i została mysią mamą,
a potem babcią



Wróćmy jednak do kosza z brudną bielizną. Tam, wśród setek kolorowych fatałaszków, pomiędzy różowymi sukienkami małej Be i błękitnymi majteczkami Mamy oraz zielonymi koszulami Taty, siedziała sobie, zwinięta w kulkę, mała szara skarpetka.

Od dawna czuła się samotna w tym barwnym świecie: jej siostra bliźniaczka, w której Be zrobiła podczas wakacji wielką dziurę, została przerobiona przez Mamę na gałgankową mysz. Z zacerowanej dziury powstał nosek, do którego doszyto wąsiki. Dwa zielone guziki inteligentnie patrzyły dookoła, zupełnie jak prawdziwe oczka, a kawałki dżinsu zostały uformowane w zgrabne uszka.

Be kochała swoją maskotkę i nosiła ze sobą wszędzie, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że w tym samym czasie, gdzieś tam na dnie kosza z bielizną ktoś usycha z tęsknoty i samotności. A druga szara skarpetka czuła się naprawdę bardzo źle.



– Nie możesz być ciągle taka smutna i apatyczna – przekonywała ją pięciopalczysta różowa rękawiczka, jedyna życzliwa jej dusza w nieprzyjaznym świecie tekstyliów. – Jeśli nie weźmiesz losu w swoje ręce, o przepraszam, w swoje nogi – będziesz tu tkwić do końca świata! Rusz się, zrób coś ze sobą!

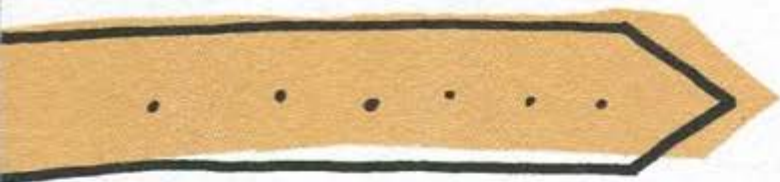
– Co prawda, to prawda – powiedziała w końcu szara skarpetka. – Nie będę czekać ani chwili dłużej.

**Opuszczam was,
słyszycie?**



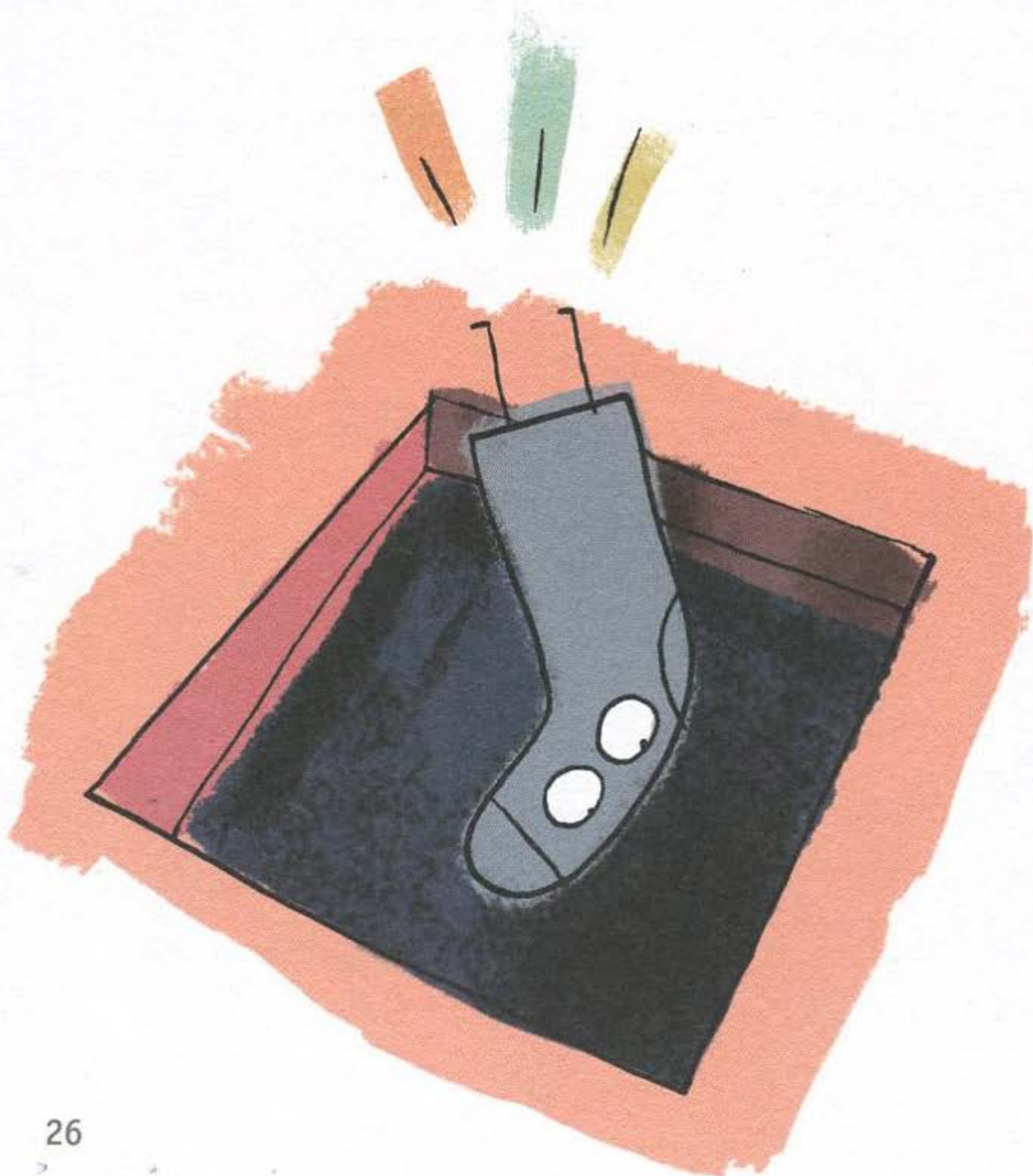
– zawołała najgłośniejszym głosem, jak umiała.

Jednak ani żółty sweter, ani beżowy bezrękawnik, ani nawet zrobiony na drutach szalik, nie przejęły się jej pogrozkami.



– Rozpaczliwie próbuje zwrócić na siebie uwagę –
prychnął tylko pasek do spodni, który zaplątał się mię-
dzy brudnymi ubraniami.

Zgnębiona szara skarpetka wyczołgała się więc z ko-
sza i zniknęła w czeluści pod pralką.





Szła długim ciemnym korytarzem,

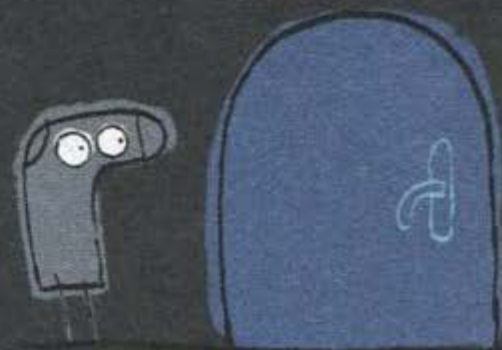


który parę razy rozchodził się w dwie strony.

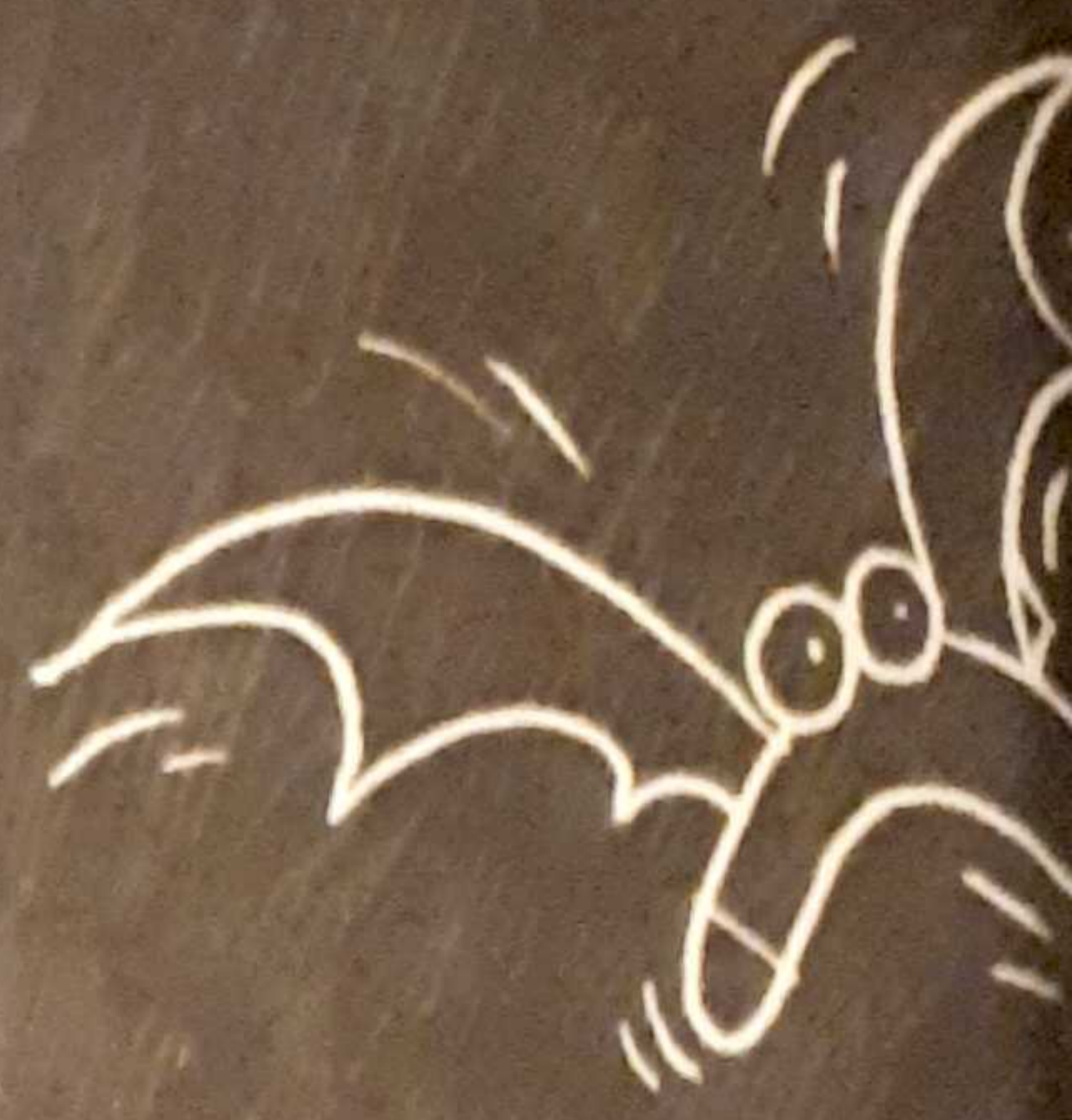


Musicie wiedzieć, że choć skarpetki wydają się identyczne, to jednak każda z nich doskonale wie, na którą stopę ma trafić i to, czy pochodzi z prawej, czy z lewej pięty jest dla niej bardzo, bardzo ważne. Jednak nasza prawa skarpetka pomyślała, że jeśli zmieniać życie, to odważnie i całkowicie, dlatego ciągle kierowała się w lewą stronę.

Wreszcie dostrzegła przed sobą pomalowane na niebiesko niewielkie drewniane drzwiczki. Ucieszyła się, bo zawsze lubiła ten kolor i uznała od razu, że to dobry znak.



Za każdym razem skręcała w lewo – trochę
wbrew swojej naturze, pochodziła
bowiem z prawej stopy.

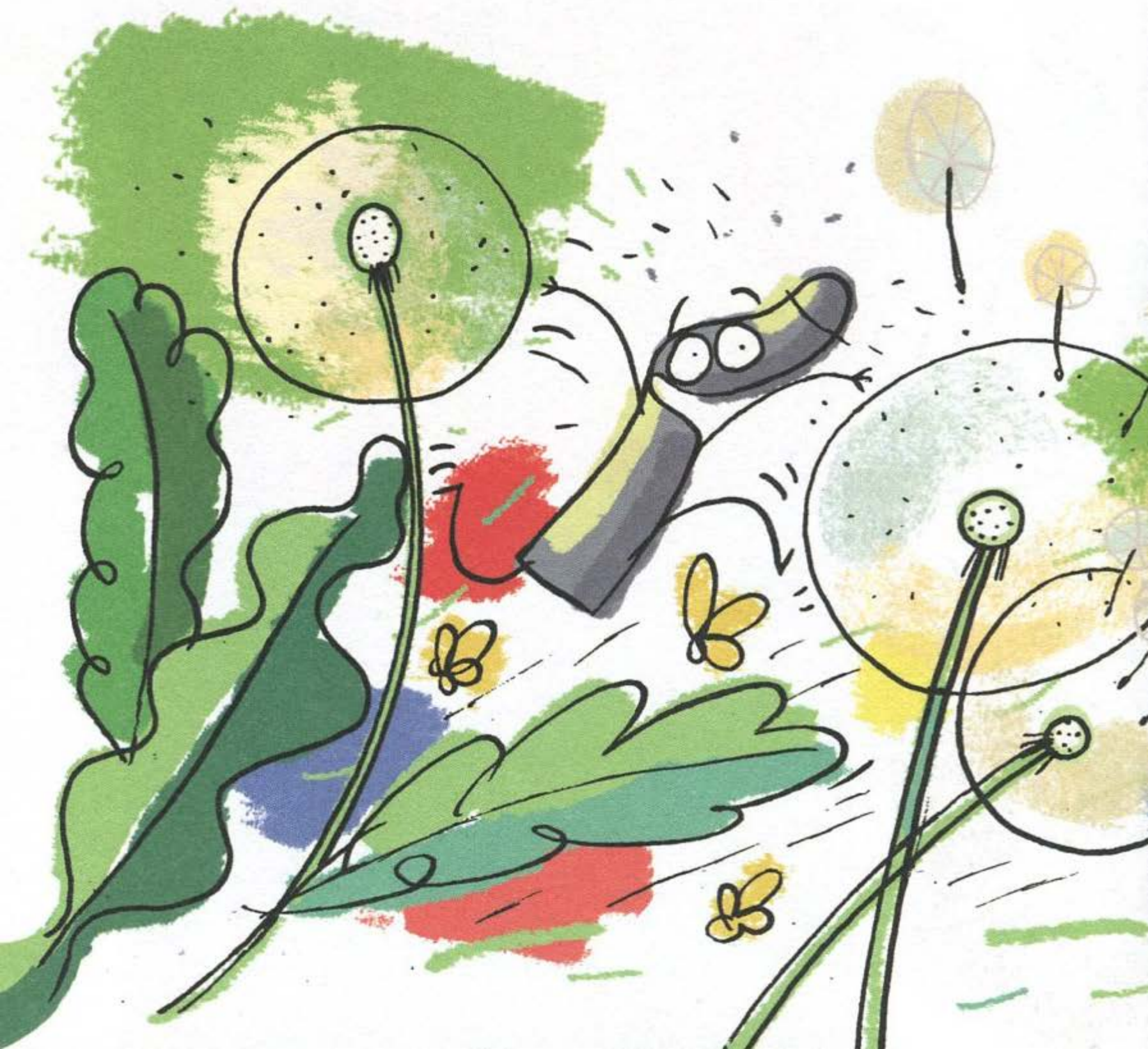




Popchnęła je więc lekko, a one
otworzyły się bezszelestnie – wprost
na bezkresną łąkę, obsypaną kwiatami
w kolorach wszystkich skarpetek
świata.

Szara skarpetka wstrzymała oddech
z zachwytu. Czegoś tak cudownego
nigdy w życiu nie widziała!

A potem ruszyła pędem przed siebie, między miękkie trawy, dmuchawce, dzwonki, koniczyny, kaczeńce i maki. Biegła, biegła, ale się zmęczyła, więc stanęła, a wtedy usłyszała cichutki płacz. Ktoś był bardzo smutny.



Skarpetka zaczęła się rozglądać dookoła, odgarniać liście, gałązki, a wtedy jej oczom ukazało się gniazdko uwite z suchej trawy, a w nim pięć maleńkich myszy. Siedziały na ziemi, gryząc z głodu ogonki, i chlipały żałośnie.





- Dlaczego płaczecie? – zapytała szara skarpetka.
- Bo wielki okrutny jastrząb porwał dziś rano naszą mamę –
pisnęła jedna z myszek.
- I powiedział, że wróci po nas – dodała druga.
- Jesteśmy głodne – szlochała trzecia.
- A nie umiemy same zdobyć jedzenia – dodała czwarta.

– Mamo, wróciłaś – krzyknęła ostatnia mysz i rzuciła się szarej skarpetce na szyję.

Szara skarpetka była tak zaskoczona, że nie potrafiła wykrztusić z siebie ani słowa. Przytuliła więc tylko małą myszkę i zaczęła ją delikatnie kołysać. Potem ułożyła ją na mchu, a sama poszła po nasiona rosnącego nieopodal słonecznika. Nakarmiła nimi myszątka i już po chwili pięć wesołych ogonków baraszkowało radośnie wokół skarpetki.

– Zostań z nami! – zawołała pierwsza myszka, chwytając ją za piętę.

– Bądź naszą mamą – wtórowały jej siostrzyczki.



Szara skarpetka z trudem panowała nad wzruszeniem.

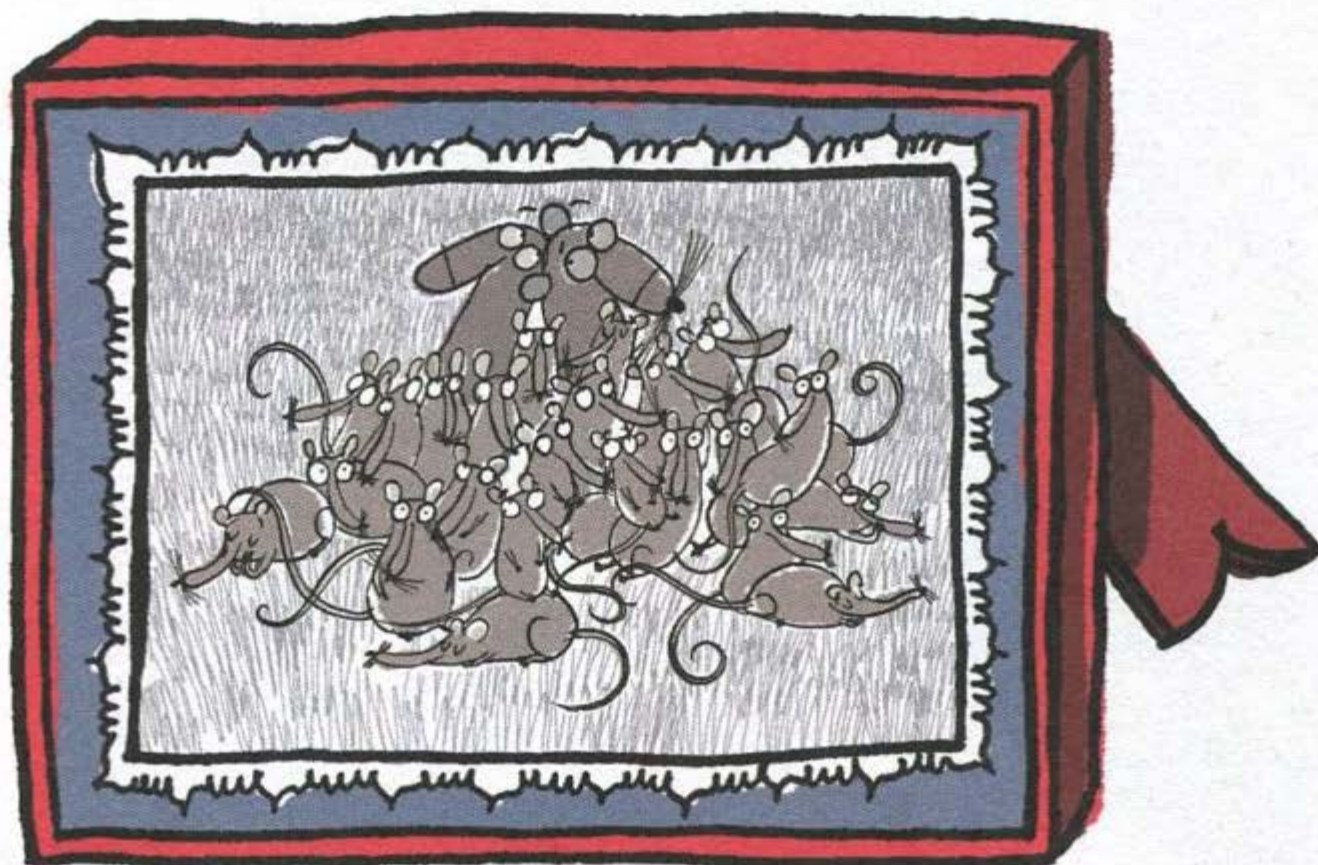
– Dobrze – wyszeptała – będę mysią mamą!

A gdy na ziemię padł złowrogi cień jastrzębia, który rzeczywiście wrócił po kolejne łupy, zawołała szybko: – Właźcie do środka!

Wtedy myszki, jedna po drugiej, wskoczyły do wnętrza skarpetki, która zawiązała się na supeł i poturlała pod wielki liść łopianu, gdzie żaden drapieżnik już im nie zagrażał.



Minęły lata – szara skarpetka doczekała się wielu pokoleń mysich wnucząt. Pewnego dnia spotkała ją wielka niespodzianka: przyjechała do niej z wizytą jej siostra bliźniaczka, sama przerobiona na mysz-maskotkę. Tak jej się to miejsce spodobało, że została tam już na zawsze. I wszyscy żyli długo i szczęśliwie.



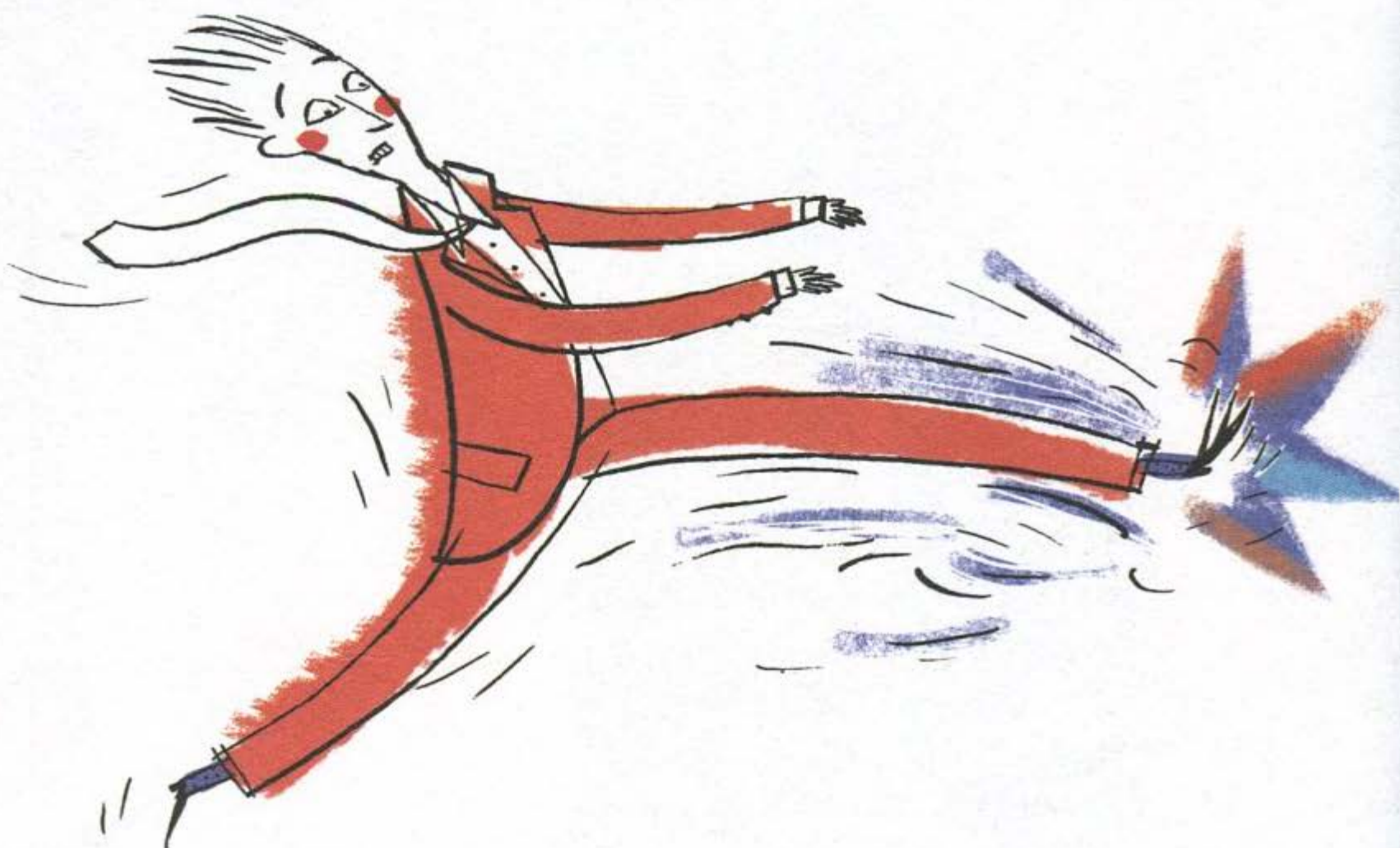
Opowieść o skarpetce trzeciej,
która zmęczyła się bezczynnym
tkwieniem w koszu,
została politykiem i zmieniła świat
— oczywiście na lepsze.





Granatowa lewa skarpetka zawsze była bardzo energiczna. Gdy znajdowała się na stopie Taty małej Be, zmuszała go, żeby robił krok do przodu nawet wtedy, gdy zupełnie, ale to zupełnie nie miał na to ochoty.

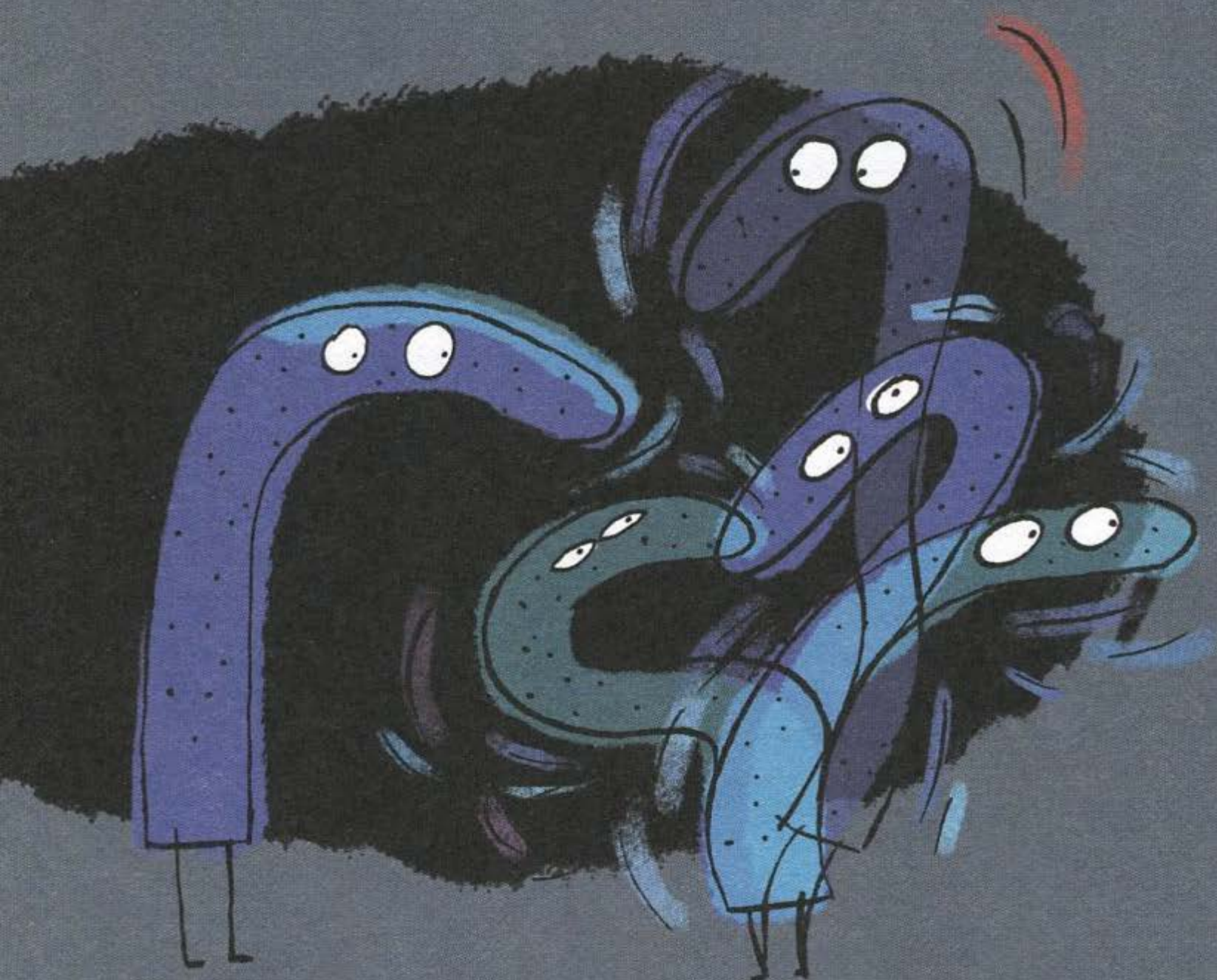
Na przykład tego dnia, gdy na zebraniu w biurze dyrektor zapytał: „Kto z państwa zgłasza się na ochotnika i przyjdzie do pracy w sobotę?“, skarpetka tak wierceła piętą, że Tata wysunął się z rzędu stojących na baczność urzędników i – chcąc nie chcąc – spędził swój wolny dzień nad stertą papierów i tabelk.



W inną znów środę jako pierwszy zgłosił się do pomocy w dźwiganiu szafy, a potem musiał się leczyć na przepuklinę. Mama załamywała ręce. No po prostu ciągle coś! Popychany przez aktywną granatową skarpetkę Tata poruszał się truchtem i był wiecznie zmęczony.



Odpoczywał tylko wtedy, gdy granatowe skarpetki wędrowały do brudów, a na jego stopy wsuwały się białe, bardzo leniwe skarpetki. Dzięki nim poruszał się flegmatycznie, ospale, trochę jak kot, i wreszcie przestawał się spieszyć. Zupełnie nie przeszkadzało mu, że koledzy z biura podśmiewali się, gdy z czarnej nogawki eleganckich spodni wyglądała umiarkowanie ciekawska, wygodna skarpetka z materiału frotté.



Tymczasem granatowe skarpetki w koszu z brudną bielizną zastanawiały się, co dalej począć.

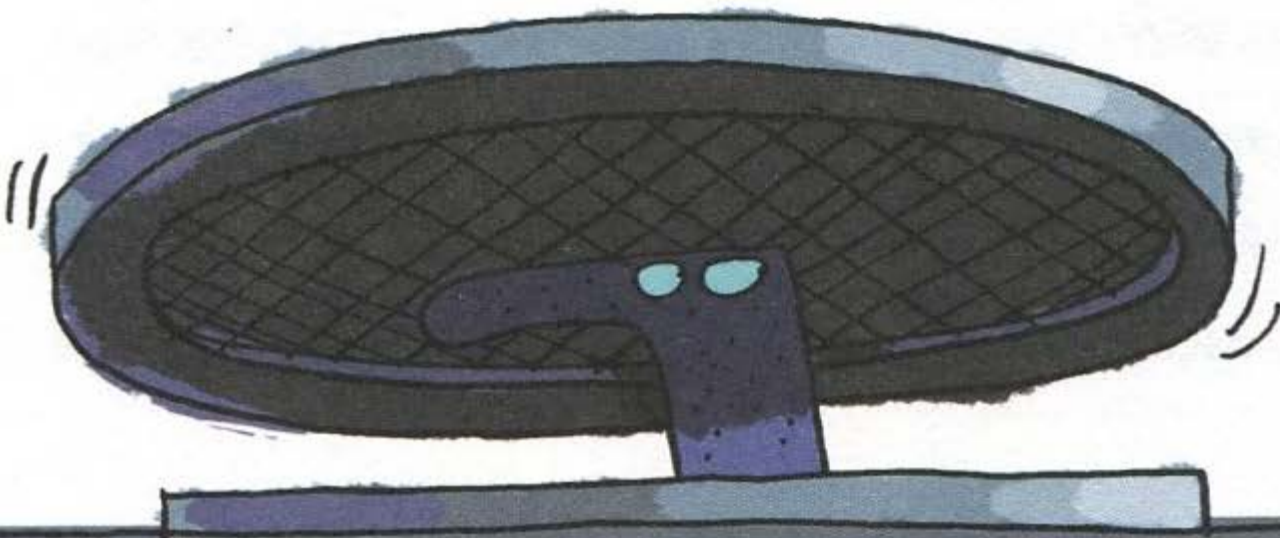
– Mnie tu dobrze – powiedziała prawa skarpetka. –
Poczekam spokojnie na rozwój wypadków.

– Co to, to nie! – krzyknęła jej lewa siostra. – Wole
sama o sobie decydować!



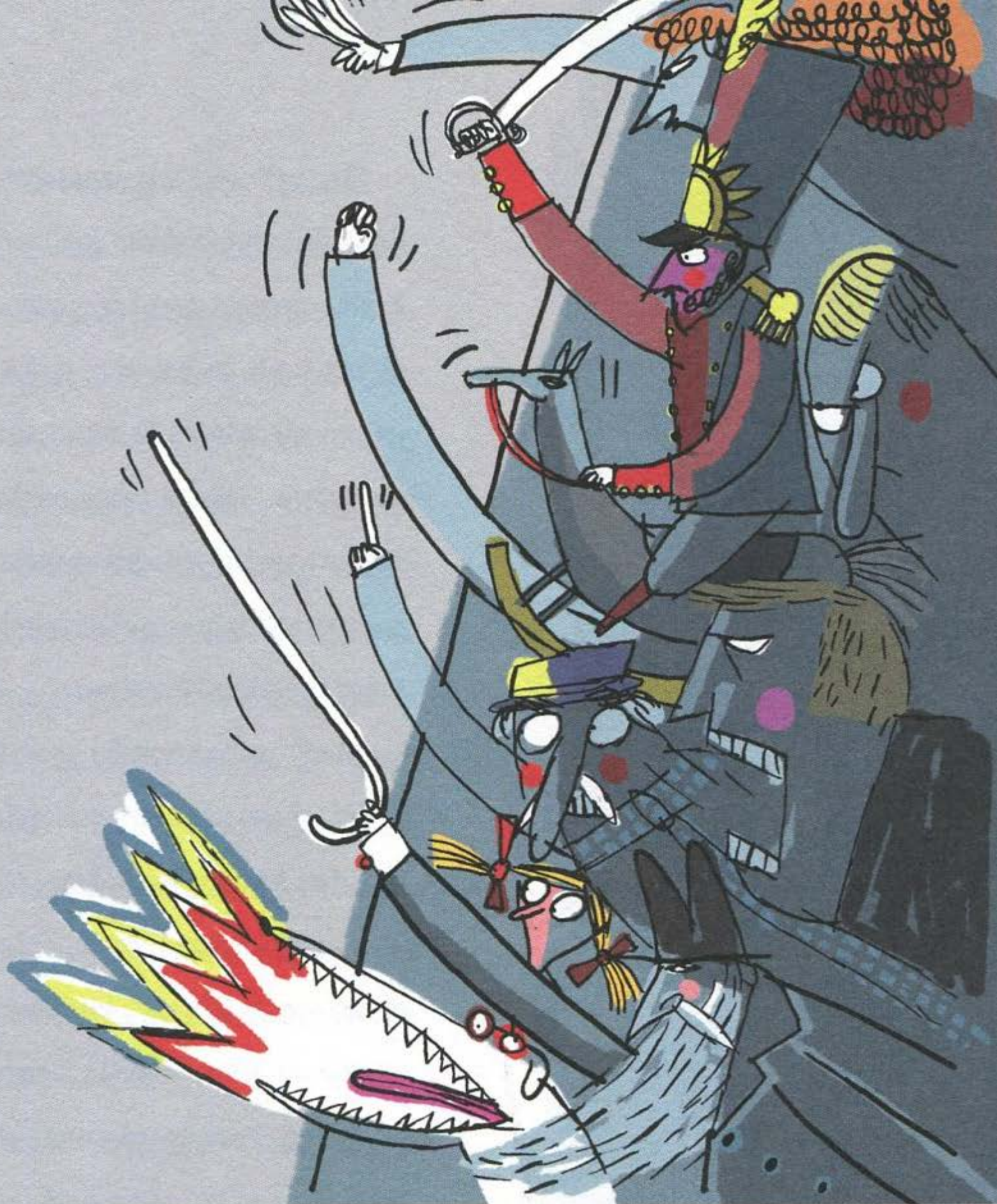
I jednym skokiem opuściła kosz, a potem zniknęła w czeluści pod pralką.

Po drugiej stronie czekała na nią okrągła klapa przykrywająca studzienkę ściekową. Skarpeta mocno ją pchnęła i znalazła się na środku zatłoczonej ulicy, na której najwyraźniej odbywała się jakaś manifestacja! Policjanci wstrzymali ruch i kazali zawracać wszystkim samochodom, które chciały przejechać.





Po obu stronach chodnika zgromadził się bowiem tłum z transparentami. Na jednym widniał napis: „Prawo jest po naszej stronie!” – trzymali go manifestanci stojący na chodniku, oczywiście po stronie prawej. Grupa stojąca naprzeciwko, czyli



na lewym chodniku, wymachiwała transparentem, który głosił: „Lewa strona górą!”. Jedni i drudzy spoglądali na siebie wrogo i od czasu do czasu wygrażali sobie pięściami. Każdy uważał, że jego chodnik jest najważniejszy.



Skarpetka, która znalazła się dokładnie pośrodku, jak zwykle czuła wewnętrzny przymus, by zrobić krok do przodu, tylko zupełnie nie wiedziała, czy bardziej na prawo, czy bardziej na lewo. W pierwszej chwili przesunęła się na prawo – co prawdy chodnik skwitował gromkimi brawami.

Wtedy jednak naszły ją wątpliwości, w związku z tym przedrep-
tała dwa kroki w lewo. Lewy chod-
nik natychmiast zaczął śpiewać
na jej cześć „Sto lat”, podczas gdy
z naprzeciwka poleciały ogryzki
od jabłek. Przez parę minut skar-
petka kręciła się w kółko, aż wresz-
cie krzyknęła:



Ludzie,
posłuchajcie
.....
mnie!

Tłum zastygł w oczekiwaniu.

– Ludzie! Przecież to bez sensu!
Ta ulica jest dwukierunkowa! Każ-
dy chodnik jest jednocześnie pra-
wy i lewy! Spójrzcie! – Skarpetka
zaczęła biec środkiem jezdni, mię-
dzy transparentami. – Gdy biegnę
do przodu, wszystko się zgadza.
Grupa zwolenników lewego chod-
nika stoi na chodniku po lewej
stronie. Wystarczy jednak, że się
obrócę i zacznę biec z powrotem,
a wszystko się zmieni. Transparent
„Lewa strona górą” znajdzie się po
prawej stronie.

Tłum początkowo nie chciał
uwierzyć w to, co usłyszał. Manife-
stanci zaczęli nerwowo dreptać to
w tę, to w tamtą stronę, aż wreszcie
któryś z prawostronnych krzyknął:

Skarpeta ma rację!

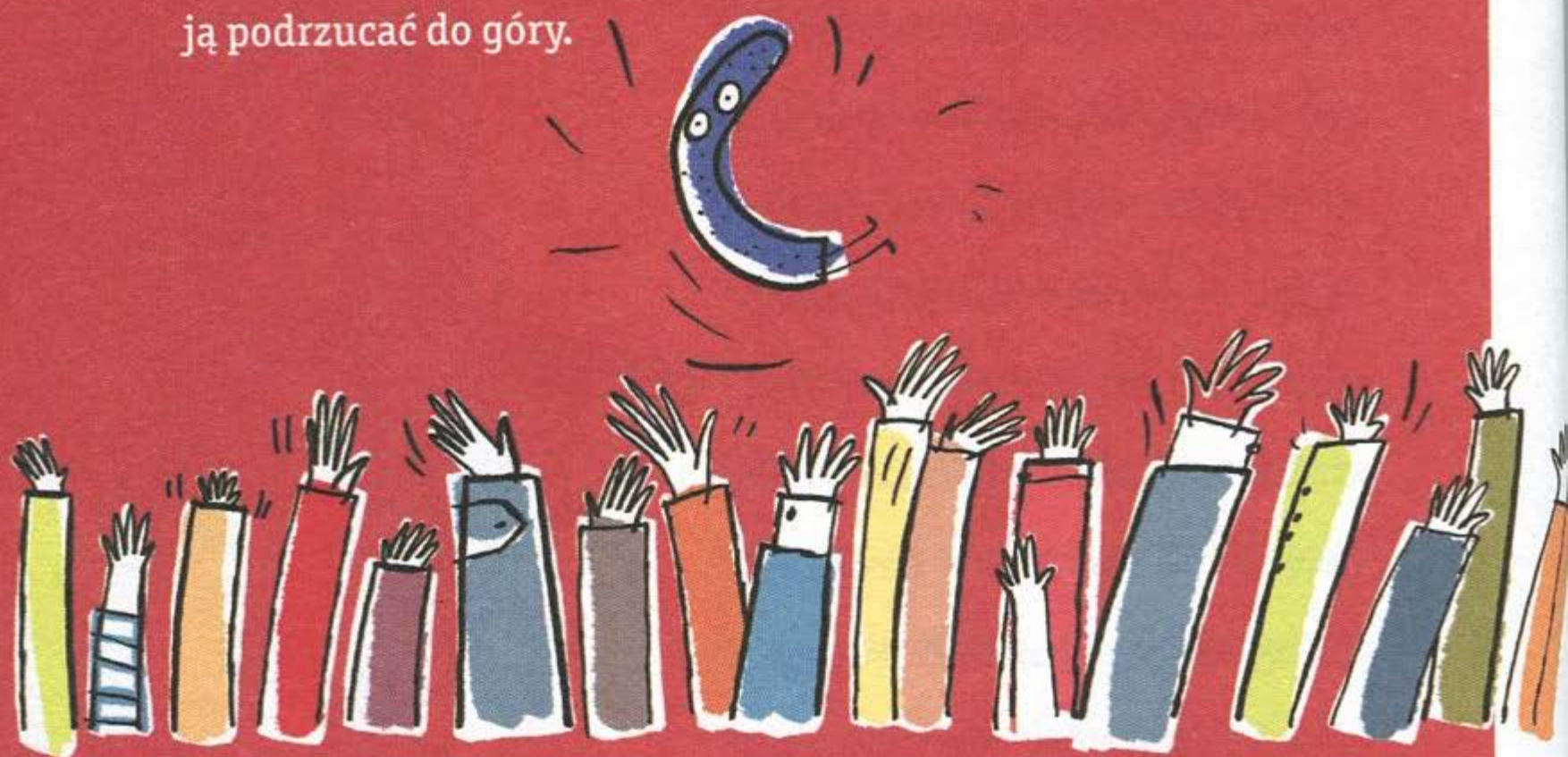


– Dobrze gada! – zawtórował mu lewostronny manifestant.

– Swój chłop! – wołali jedni.

– Równa babka! – dodawali inni.

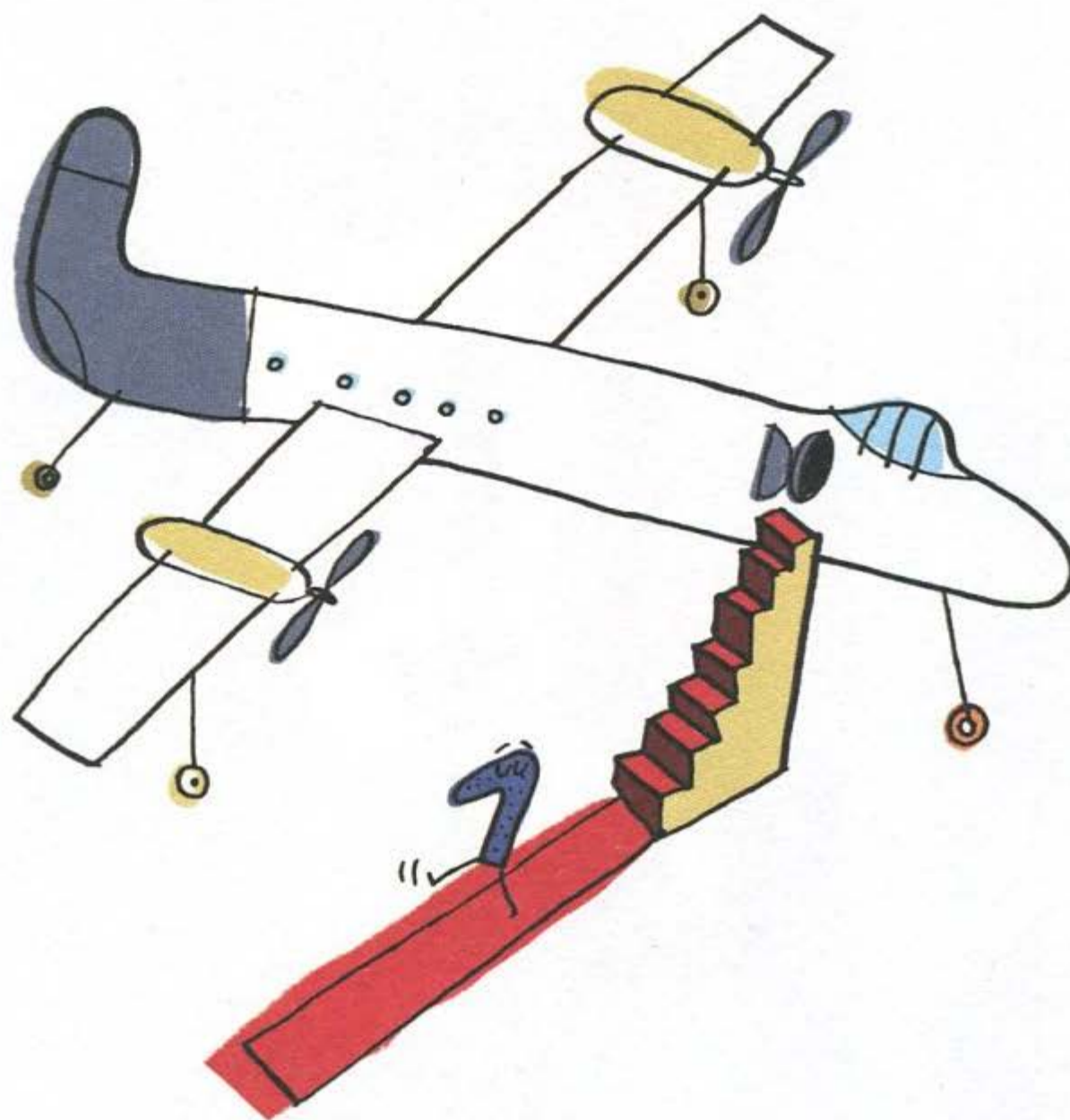
Wreszcie porwali lewą granatową skarpetkę i zaczęli ją podrzucać do góry.



A następnego dnia na pierwszych stronach gazet pojawiły się tytuły: „Przemówił rozsądek”, „Wreszcie mamy kompromis”, „Narodził się nowy przywódca” oraz „Skarpetka na prezydenta”.



W ten sposób granatowa lewa skarpetka została ważnym politykiem. Piastowała szereg urzędów, jeździła w delegacje, wygłaszała przemówienia i przypinała ordery. W końcu przeszła do historii jako twórca słynnego powiedzenia, że „każde prawo ma swoje lewo”.



Opowieść o skarpetce czarnej,
która otuliła stopę bezdomnego,
będącego... nie powiem kim
— przeczytaj, to się dowiesz!



Historia czwartej prawej skarpetki od początku była skomplikowana. No bo tak:

Wykonano ją we włoskiej fabryce z wyjątkowej wielobarwnej przędzy, którą zrobiono z futerka angorskich królików. Czuła się piękna oraz wyjątkowa, i słusznie! Była różowa w niebieskie, żółte i zielone paseczki. Tak miękka, że każdy chciałby ją nosić jako koszulkę, a nie skarpetkę. No i bardzo droga.

Zapakowano ją do ładnego kolorowego pudełeczka i wysłano w świat. Kłopot w tym, że przez niedopatrzenie zabrakło jej drugiej skarpetki do pary. No, ale tego oczywiście nikt nie zauważył, bowiem opakowanie było firmowo zamknięte.

Mama kupiła je dla małej Be, żeby było jej miękko w paluszki u nóg. Cóż za rozczarowanie, gdy dziewczynka otworzyła pudełko! Co robić z taką pojedynczą skarpetką? Ta przez pewien czas wałała się w szufladzie z zabawkami, a potem, przykurzona, trafiła do kosza z brudną bielizną.



– Patrzcie, kogo tu mamy – kpiącym głosem odezwała się dziurawa skarpetka frotté. – Zaszczyciła nas arystokracja!

– Jak mówił poeta „wnet i tak zginiemy w zupie” – jednym słowem, każdy w końcu trafi do kosza z brudami. A było się tak puszyć? – zagrzmiały wełniane kalesony.



Korytarz zaprowadził ją do miejskiego parku. Był maj, więc kwitły bzy, wszystko wokół pachniało, a pracowici bzykacze bzykali ile sił w małych pasiastych ciałkach. To tu, to tam widać było spacerującą za rękę parę, albo tarzającego się w trawie, przeschęśliwego jamnika, który czekał na taką okazję przez długie zimowe miesiące.



Jednak uwagę skarpetki przyciągnął potężny brzuch wyłaniający się z krzaka w rytm miarowego chrapania. Na ziemi, przykryty starym workiem po ziemniakach, spał ogromny brodac. Był bardzo brudny i nie pachniał zbyt pięknie.

Skarpetka przysiadła na trawie i przyglądała mu się uważnie. Po chwili grubas się obudził.



- O proszę - powiedział. - Jaka ładna skarpetka!
- Dziękuję, miło mi.
- Ja nie jestem taki ładny, ani taki mięciutki - ciągnął brodacz.
- No rzeczywiście, trudno zaprzeczyć - uśmiechnęła się skarpetka. - Dlaczego jest pan taki brudny?



- Bo nie mam łazienki.
- To przykre! A czemu nie ma pan łazienki?
- Bo jestem bezdomny, oto dlaczego!
- A czemu jest pan bezdomny?
- Strasznie jesteś ciekawska... Ale ci powiem!

Byłem kiedyś potężnym królem. Miałem piękną żonę, skarbiec pełen różnych różności, ogrody różane i stadniny koni.



Niestety, na moje królestwo napadł zły władca sąsiedniej krainy. Moja wspaniała armia walczyła bardzo dzielnie, broniąc zamku, jednak zły władca miał potężniejszego pomocnika: smoka o wielkich zębach...





- I co, i co? - skarpetka aż się naelektryzowała z podniecenia.

- Ano, słuchaj dalej... Smok o wielkich zębach pokonał całą moją armię. Wystarczyło jedno kłapnięcie jego morderczych zębów, aby uśmiercić cały oddział moich żołnierzy. W zamku zostałem tylko ja i moja piękna żona. Musiałem jej bronić. Wziąłem więc wielki miecz mojego ojca i sam jeden stanąłem naprzeciwko bestii.



Smok rzucił się na mnie, ale udało mi się zranić go w skrzydło. Ruszyłem na niego, a on otworzył swoją paszczę wielką jak kopytka, która stoi nieopodal na budowie. I kłapnął.

Odskoczyłem, ale jego straszliwie ostre zębiska zacisnęły się na moim prawym kolanie. Zniżył przy tym łeb, więc wykorzystałem okazję i odciąłem go jednym machnięciem miecza. Niestety, z nogą musiałem się pożegnać: została w smoczym pysku.

– I co? I co?

– Ano nic. Królestwo było wolne od bestii, ale ja straciłem nogę. A ponieważ moja piękna żona zasługuje na kogoś lepszego niż kaleka chodzący o kulach, postanowiłem odejść. Nic jej nie mówiąc,

ruszyłem w świat, przemierzyłem siedem pięknych krain, aż wreszcie trafiłem do tego parku i od tej pory tu mieszkam.





Skarpetka patrzyła uważnie na brodacza.

- Nabijasz mnie w butelkę, prawda?
- Gdzieżbym śmiał!
- W takim razie powinieneś mieć tylko jedną nogę!
- No to popatrz - i brodacz podniósł stary worek, który osłaniał całą jego lewą nogę i pozostałą połówkę prawej. Skarpetka zauważyła, że lewa stopa była strasznie brudna i podrapana.

– Teraz ci wierzę – powiedziała i dodała: – Właściwie jesteście podobni. Ty nie masz jednej nogi, ja nie mam drugiej skarpetki do pary. Ty miałeś być królem, ja miałam być ozdobą worka ze skarpetkami. Byłeś bogaty, a ja byłam zrobiona z drogocennej wełny...



– To prawda, dobrana z nas para – zachichotał bezdomny. – Mam pomysł. Zostań ze mną. Gawędzilibyśmy sobie, a jak zrobi się chłodniej, mogłabyś ogrzać moją lewą stopę.

– Będę zaszczycona, królu – szepnęła skarpetka i miękko otuliła brudną królewską piętę.

Od tego czasu bezdomny władca i samotna skarpetka byli nierozłączni. Z czasem skarpetka zrobiła się okropnie brudna i jeszcze bardziej pasowała do swojego towarzysza.

Pewnego dnia, gdy siedzieli sobie na ławce, gwarząc o tym i o owym, w parku zjawiała się królowa. Zupełnie nie przejęła się tym, że król nie ma nogi. Po prostu podeszła do ławki i powiedziała:

A więc tu jesteś, gałganie!
A ja cię szukam od tylu lat!



A potem zabrała go na zamek. Złotnik zrobił dla niego sztuczną nogę ze złota i kości słoniowej. Natomiast skarpetkę królowa osobiście wyprała w letniej wodzie i wypłukała w płynie zmiękczającym, a potem mianowała królewskim doradcą.



Opowieść o skarpetce piątej,
która uratowała małego kotka
przed niedobrym chłopcem,
a potem zmieniła się w coś
zupełnie innego.



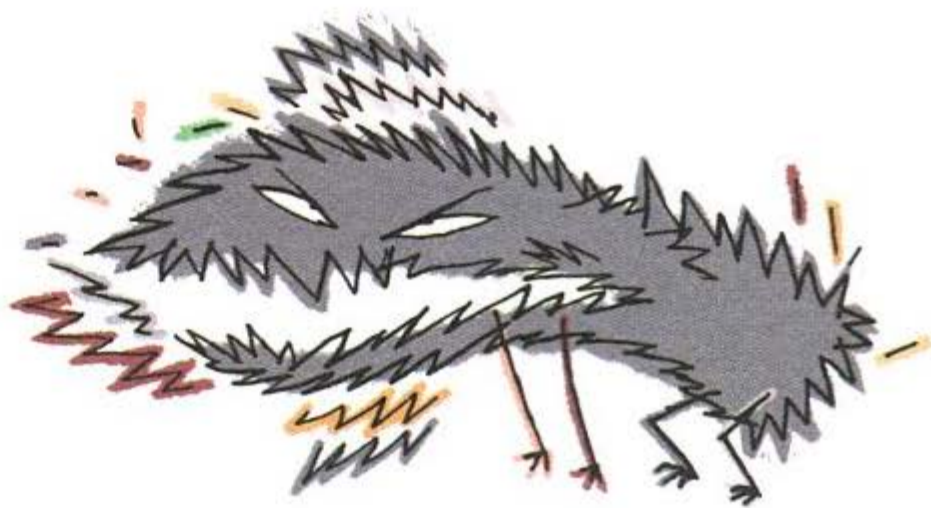
Nie wiem, czy wiecie, ale skarpetki mają swoją osobowość. Potrafią być łagodne, przymilne, przytulają się do stopy jak, nie przymierzając, kot albo mały oswojony łoś, a mogą też być drażniące, gryzące i niezupętnie przyjemne w obyciu.

fig.1



Ten drugi rodzaj skarpetek jest szczególnie przez właścicieli stóp niepożądany, dlatego takie egzemplarze jak skarpeta z surowej owczej wełny, zrobiona na drutach przez grubą góralkę, najczęściej trafiają na samo dno kosza na bieliznę. Tam czekają, aż pani domu, w tym wypadku Mama małej Be, zechce je wyprać w rękach.

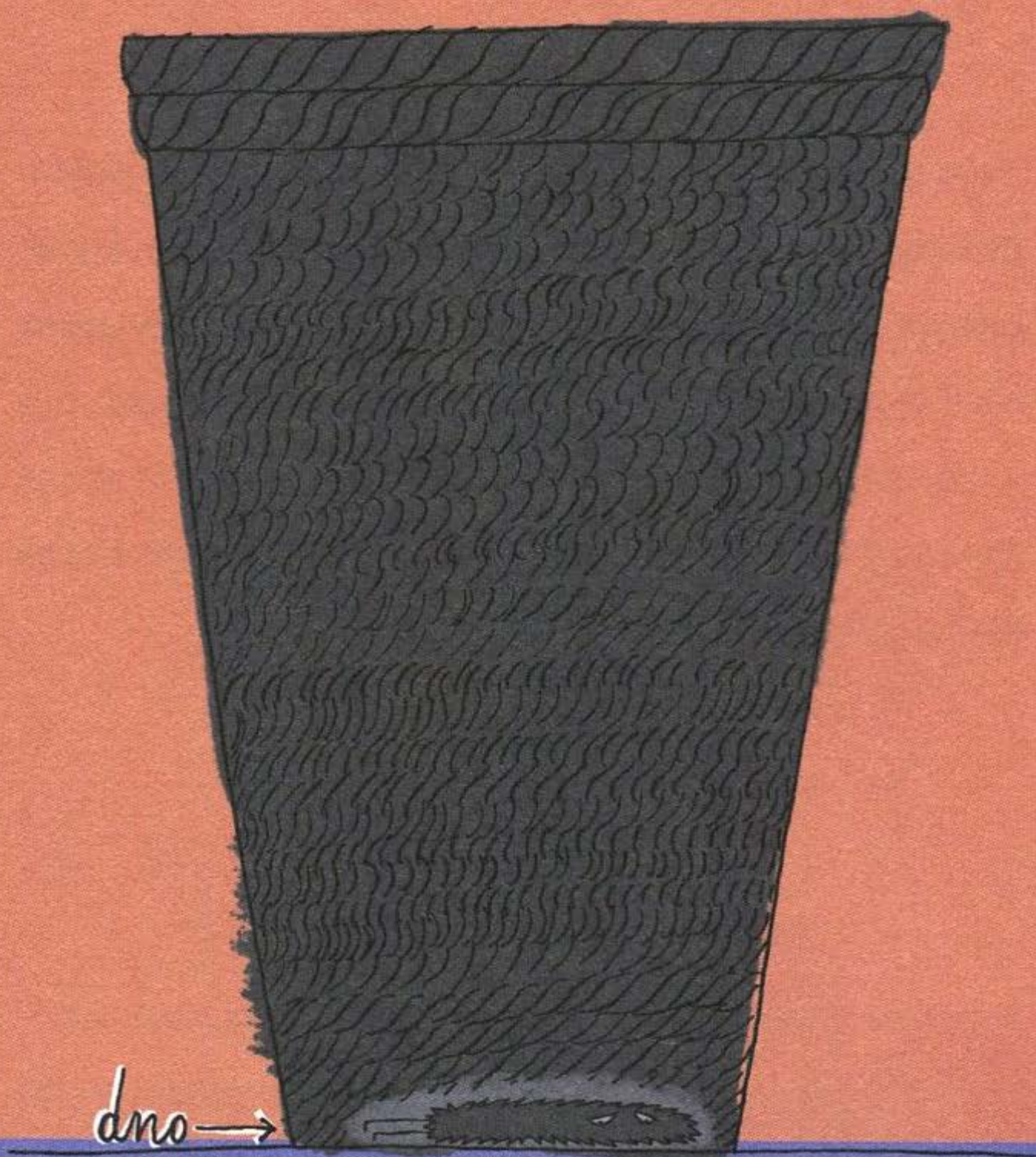
fig.2



Bo przecież surowej owczej wełny do pralki się nie wrzuca. Niestety, nigdy nie ma dobrego momentu na ręczne pranie wełnianych skarpet, więc – praktycznie rzecz biorąc – dno kosza na bieliznę staje się dla nich miejscem wiecznego spoczynku.

No, chyba że dopadnie je jakiś zdeterminowany mól i wygryzie w nich serię dziur. Strach to powiedzieć, ale wtedy czeka na nie tylko śmietnik.





Skarpeta numer pięć, ostra i naprawdę niemiła, leżała na samym dnie od ładnych paru lat. W koszu utarło się nawet powieźdzenie, że ktoś „upadł nisko jak wełniana skarpeta”. Oznaczało to, że naprawdę nie spotka go już w życiu nic dobrego. Mówimy tylko o jednej skarpetce, lewej, bo los prawej był nieznan. A lewa leżała sobie i leżała, aż pewnego dnia Mama postanowiła jednak sprawdzić, co znajduje się na samym dnie wiklinowego kosza, więc wyrzuciła całą jego zawartość na podłogę.

– Ojej – zawołała – jaka szkoda, że nie zrobiłam tego wcześniej! Popatrz, Be, twoja zielona sukienka, całkiem o niej zapomniałam. Teraz pewnie można będzie w nią ubrać misia.

– O... – zawołała Be. – Jaka fajna bluzka w kwiatki! Twoja?

– Ano moja.

– Strasznie mała! Ty się w to kiedyś mieściłaś?

Mama zmarszczyła brwi.

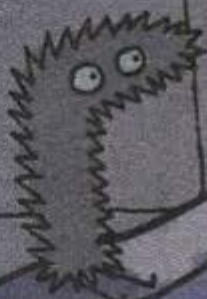
– No dobrze już, dobrze, spakujemy to wszystko do worka i wyrzucimy do śmieci.

„Niedoczekanie wasze” – pomyślała wełniana skarpetka. Podczas gdy Mama i Be zastanawiały się, dlaczego właściwie od leżenia w wiklinowym koszu ubrania się kurczą, skarpetka wślizgnęła się za pralkę, a potem zanurkowała w czarnej czeluści.

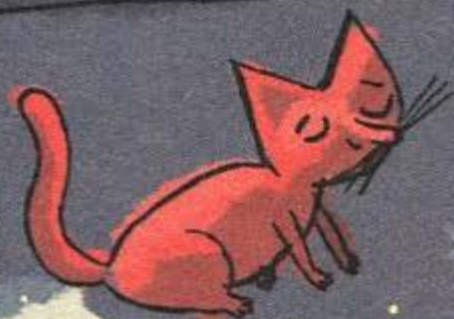




Spodziewała się świata równie kolorowego jak zawartość kosza na bieliznę, jednak na końcu długiego korytarza czekała ją niemiła niespodzianka. Szare betonowe podwórko, szary dom i szare niebo nad nim. Na środku podwórka siedział kot. Nie, nie szary, tylko rudy i tak miły w dotyku, że niemiła w dotyku skarpeta poczuła gwałtowne ukłucie w sercu.



Jak to się dzieje, że jedni z nas przychodzą na świat tacy delikatni, puszyci, przyciągający uwagę, a inni od samego początku muszą się zmagać ze swoją ostrością i niedelikatnością. Siadła sobie na szarym krawężniku i z zachwytem patrzyła na kotka.



W pewnej chwili na podwórku pojawił się ktoś jeszcze. Chłopiec o błękitnych, niewinnych oczach, równie delikatny i miło wyglądający jak ten rudy kot.





Kici, kici!

– szepnął, powoli podchodząc do zwierzaka.

Skarpeta próbowała dostrzec ze swojego miejsca, co też chłopiec trzymał za plecami, bo najwyraźniej coś tam chował.

– Kici, kici... – Chłopiec skradał się, przypominając trochę kota polującego na mysz. Ruda kocina

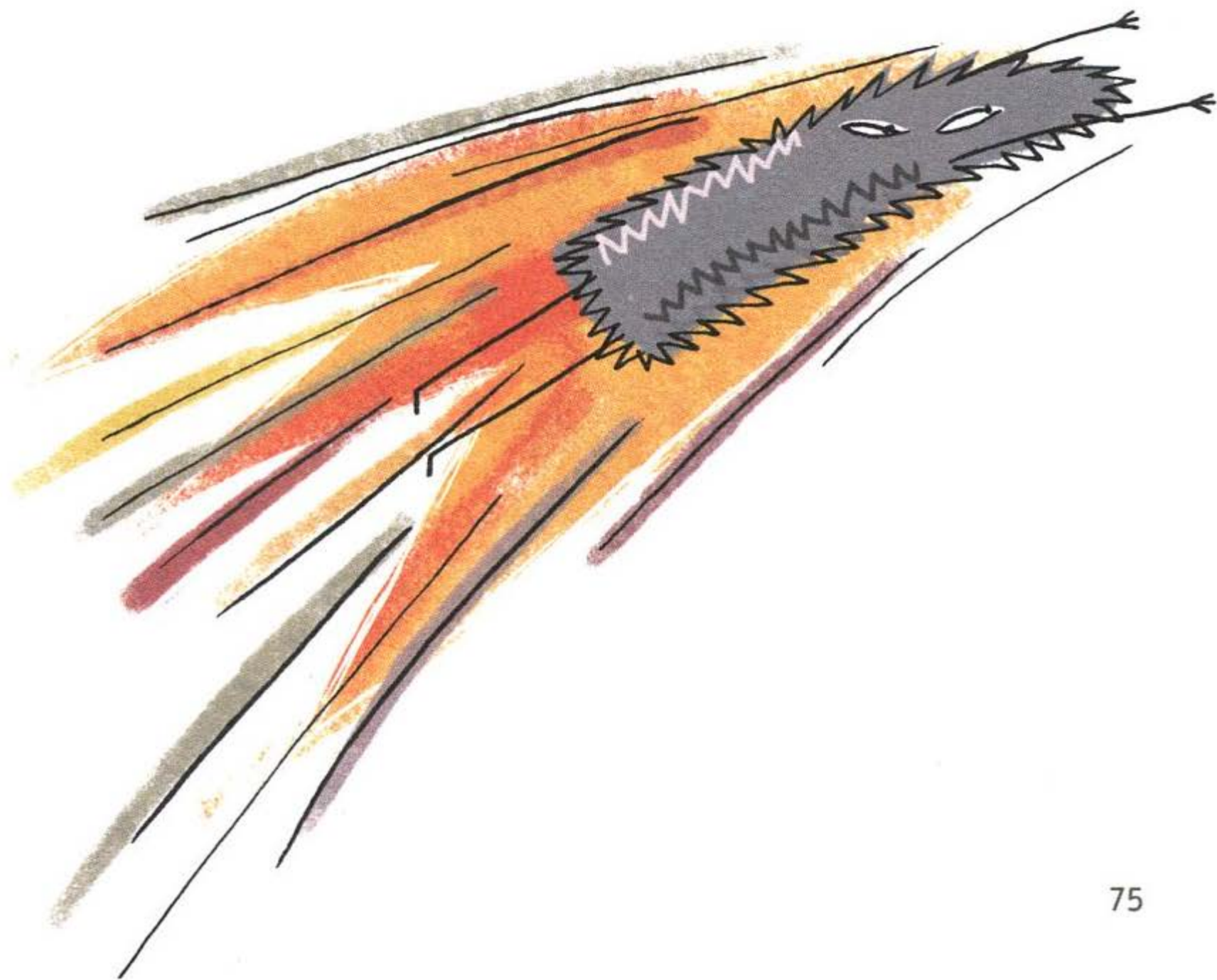
jednak zupełnie go ignorowała, zajęta wylizywaniem łapki. Jak ktoś jest tak miły i puszysty, nie przychodzi mu do głowy, że ktokolwiek mógłby go nie lubić.

Tymczasem chłopiec nie lubił kotów. Ani psów, ani gołębi, ani nawet rybek. Kiedyś, kiedy był młodszy, bardzo, ale to bardzo chciał mieć swojego kotka. Niestety babcia, z którą mieszkał, nie zgadzała się, mówiąc, że mają za małe mieszkanie i że żaden zwierzak nie wytrzyma długo w takiej ciasnocie. Chłopcu było tak smutno, że w końcu przestał lubić zwierzęta.

Ba, wręcz serdecznie ich nie znosił, więc gdy tego ranka wyszedł na dwór i zobaczył pięknego rudego kocura, który prześlicznie lizał swoją łapkę, ogarnęła go jakaś taka nieprzyjemna złość. Złapał worek po ziemniakach i zaczął skradać się w stronę zwierzaka.

Nie był pewien, co zrobi, gdy już go schwyta, miał jednak nadzieję, że uda mu się go solidnie wystraszyć.

Świadkiem tej właśnie sceny była wełniana skarpeta. Gdy dotarło do niej, co dzieciak trzyma za plecami, w jednej chwili poderwała się z krawężnika i rzuciła w przód.



Trzema susami dopadła chłopca i – niewiele myśląc – wyskoczyła w górę i wsunęła mu się na głowę, zakrywając całą twarz – tak, że przestał cokolwiek widzieć.

Mały chuligan wydarł się na całe gardło:

Ratunku!



Kot podniósł się i, maszerując łapka za łapką swoim niespiesznym kocim krokiem, oddalił się w sobie tylko znanym kierunku.

Chłopiec przez chwilę boksował powietrze – sądząc, że za nagłą utratą widzenia kryje się jakiś groźny napastnik, a potem

z wściekłością zerwał skarpetkę z twarzy i rzucił w kąt podwórka, gdzie stały worki z piaskiem. Rozejrzył się, krzyknął ostrzegawczo: „Jeszcze cię dopadnę!” i pobiegł do domu na żurek.

Tymczasem skarpetka leżała na kupce rozsypanego piasku, a serce jej śpiewało z radości. W całym swoim życiu nie była tak szczęśliwa jak teraz. Oto jej, brzydkiej, szarej, samotnej i nieprzyjemnej w dotyku udało się zrobić coś tak cudownego – ocalić to piękne, mięciutkie i budzące podziw zwierzę. Co z tego, że kot nawet o tym nie wiedział. Do szczęścia wystarczyło jej, że spełniła dobry uczynek.





Po paru dniach na podwórku zjawili się chłopak i dziewczyna. Mieli długie włosy, długie nosy i długie nogi. Szukali starych rzeczy, które nie były już nikomu potrzebne, a z których mogliby zrobić coś pożytecznego dla siebie.

– Ale super skarpetka – powiedziała dziewczyna, podnosząc z ziemi naszą wełnianą bohaterkę. – Ma dokładnie taki kolor jak ten sweter, który ci robiłam na drutach, ale nie skończyłam, bo zabrakło mi włóczki.

– Aha – powiedział chłopak.

– Wezmę ją, spruję, wypiorę, i wreszcie będę mogła go skończyć!

– Aha – powtórzył chłopak.

Jak powiedziała, tak też zrobiła. W ten sposób nikomu niepotrzebna szara skarpetka zmieniła się w sweter długowłosego chłopaka. Ulubiony sweter! Nie tylko dlatego, że jego dziewczyna wydziergała mu go z miłością. On po prostu lubił, jak go trochę drapało w plecy.



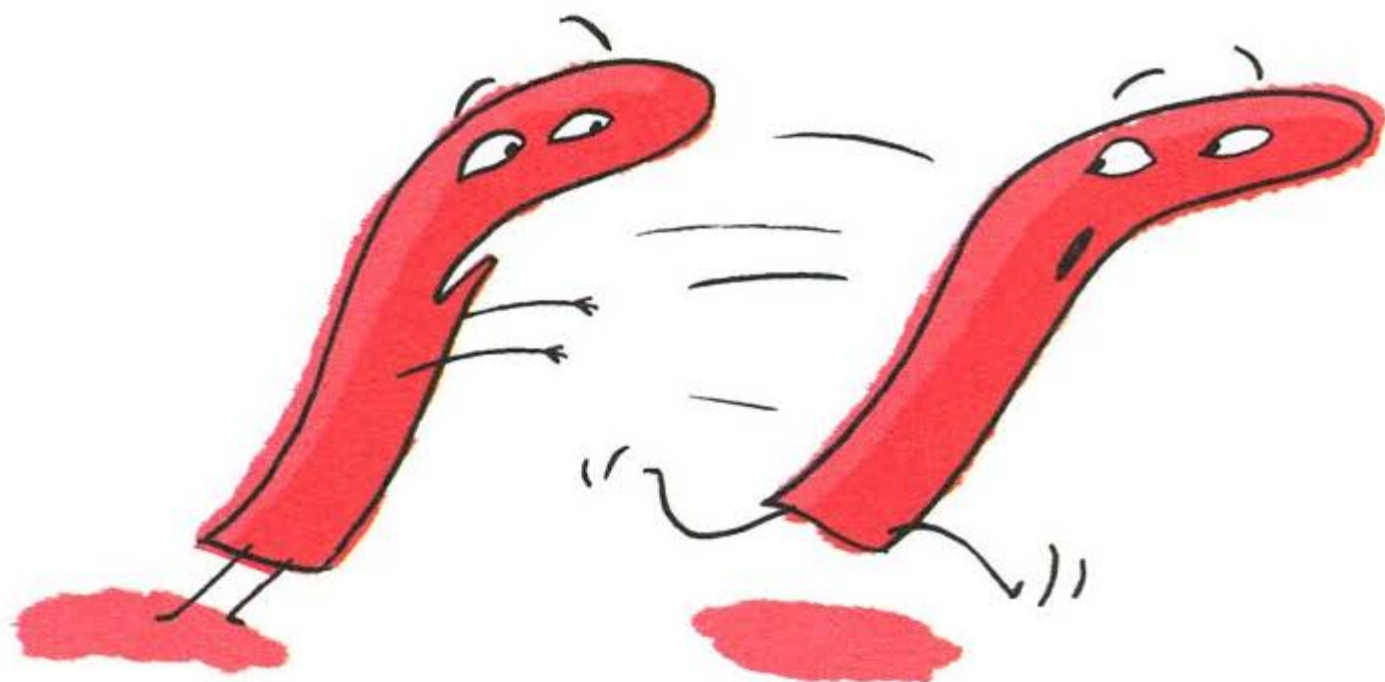
Opowieść o skarpetce szóstej,
która zwinęła się w rózek
i przysiadła na krzaku różanym,
a potem wygrała konkurs
na najpiękniejszy kwiat

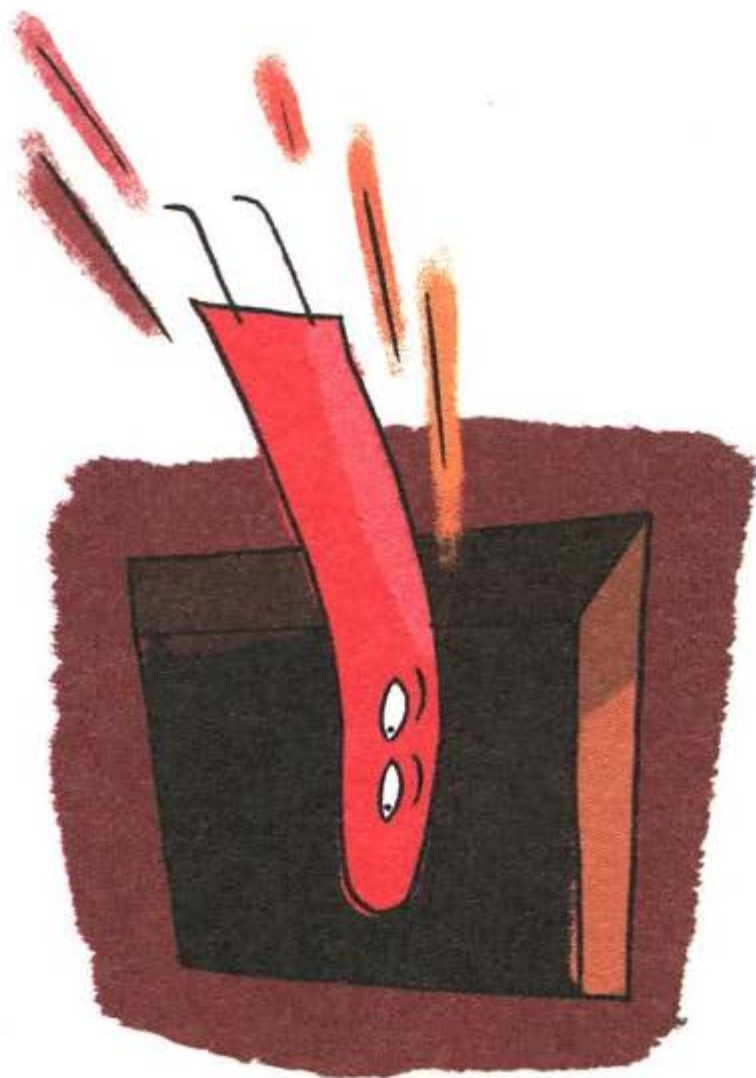


Jedna z czerwonych jedwabnych skarpetek, a dokładnie rzecz biorąc lewa, uciekła z kosza z brudną bielizną właściwie bez powodu. Mama uwielbiała nosić te prześliczne „otulistopki” (otulistopka to inaczej skarpetka, raczej damska niż męska) i nawet specjalnie podwijiała dżinsy, żeby kawałek było widać. Dbała o nie bardzo, prała wyłącznie w różanych płatkach mydlanych i tak dalej, i tak dalej. A jednak czerwona jedwabna lewa uciekła, nie oglądając się na swoją siostrę bliźniaczkę, która załamywała piętę z żalości.

– Wróć, siostrzyczko!

– Nie mogę, coś mnie gna i gna – odkrzyknęła, nim znikła w dziurze pod pralką.





Korytarz zaprowadził ją na sam środek ogródków działkowych. „Ach – pomyślała jedwabna skarpetka, gramoląc się ze studzienki kanalizacyjnej na wysypaną żwirkiem ścieżkę – wreszcie otoczenie, które do mnie pasuje.”



I ruszyła działkową alejką, mijając starsze panie przycinające migdałowce albo zbierające z krzaczków białe porzeczki.

W pewnej chwili zauważyła wytworną damę w turkusowej sukni, która z bardzo zatroskaną miną przyglądała się różanemu krzewowi. Wzdychała, kręciła głową i ocierała splywające po policzku łzy. „Cóż się jej stało?” – zastanawiała się skarpetka, podziwiając idealnie wypielegnowany ogródek, w którym rosły najpiękniejsze kwiaty lata – dalie, cynie, marcinki, floksy, groszki pachnące, no i róże.

Żaden z gospodarzy ogródków działkowych nie miał tak dorodnych różanych krzewów. Sekret pani generałowej – bo starsza pani w turkusowej sukni była wdową po generale – polegał na tym, że wrzucała pod różane krzaki kostki od kurczaka.

Róże o wiele bardziej lubiły takie kąski niż nawóz w postaci specjalnego granulatu z pudełka i w zamian odplątały się imponującymi kwiatami. Cóż, kiedy ta dieta – dość nietypowa, jeśli chodzi o kwiaty – dawała efekty uboczne.





Otóż różane krzewy po prostu walczyły ze sobą jak zawistne koguty. Kiedy nikt nie widział, rzecz jasna. Wieczorem zaczynały intensywnie pachnieć, a potem wysuwały ku sobie kolczaste łodygi i – pac! – bladoróżowa róża historyczna „Souvenir de la Malmaison” dziobała ciemnoróżową „Henri Martin”. Angielska „New Down” zahaczała kolcami o łososiowe kwiaty „Alchymista”.

Wojna była niezwykle krwawa, zdarzały się dni, kiedy krzewy biły się do ostatniego płatka. Biedna pani generałowa nie zdawała sobie sprawy, że podrzucając niewinne kurze kosteczki pod różane krzewy, powoduje takie zamieszanie. Mimo iż róże rosły



bujnie i liście miały mięsiste, ich kwiaty, tak dobrze zapowiadające się wieczorem, rano były całkowicie zniszczone. Nikt nie wiedział dlaczego.

No i generałowa miała poważny powód do zmartwienia. Tego roku bowiem zgłosiła się do konkursu o tytuł najlepszego hodowcy róż. Nagroda była nie byle jaka: wyprawa do najwspanialszego różanego ogrodu na świecie, w Sangerhausen w Niemczech. Jej zmarły mąż obiecywał kiedyś, że ją tam zabierze, no ale niestety się nie udało. A było to największe marzenie pani generałowej.

Wystawa róż rozpoczynała się już następnego dnia, tymczasem na pięknym krzewie „Dame de coeur”, który zamierzała pokazać, nie było ani jednego kwiatka, ani jednego pączka!

Skarpetka oczywiście nie mogła wiedzieć o zmartwieniu generałowej, jednak od razu poczuła do niej sympatię. Podeszła odrobinę bliżej i... zaplątała się w różane kolce. Próbując się odczepić, zakręciła się wokół siebie najpierw raz, potem drugi raz – jednak nie przyniosło to spodziewanego efektu, za to skarpetkowy supel na różanej gałęzi wyglądał, wypisz wymaluj, jak dorodny kwiat róży. A że Mama małej Be niedawno wyprała skarpetkę w różanych płatkach mydlanych, to i zapach miała ona całkiem jak róża.

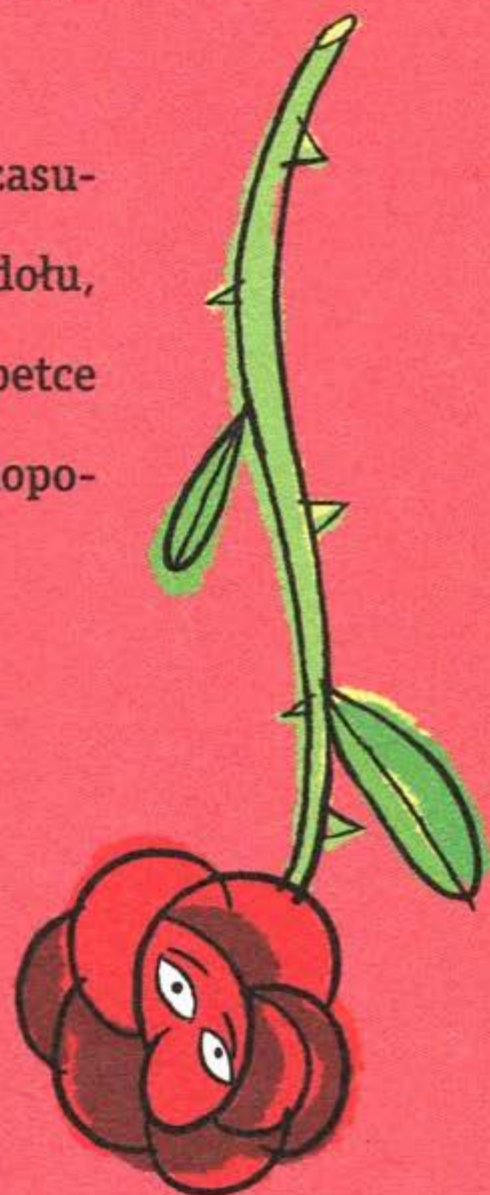
Na widok skarpetki twarz generałowej rozjaśnił uśmiech:

– Całkiem już chyba oślepiłam – jak to możliwe, że nie zauważyłam do tej pory tak pięknej i okazałej róży! Ba, w całym moim życiu nie udało mi się wyhodować czegoś równie zachwycającego! Jestem uratowana!

Następnego dnia założyła przepiękną suknię – oczywiście w róże, głowę przysłoniła ogromnym kapeluszem, również ozdobionym różami, po czym zawiozła skrzynię z krzewem (wraz z jedwabną skarpetką) na wystawę.

Jak się zapewne domyślacie, zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie. Jurorzy uznali, że udało się jej wyhodować całkiem nową odmianę, którą nazwali „Lola de Valence”. A generałowa pojechała na wycieczkę do Sangerhausen, co dało jej wiele radości.

Swoją piękną, szczęśliwą różę postanowiła zasużyć. Obcięła łodyżkę i powiesiła, kwiatem do dołu, pod żyrandolem. Czerwonej jedwabnej skarpetce było bardzo dobrze w roli róży. Dlatego prawdopodobnie wisi pod lampą do dziś.



Opowieść o skarpetce siódmej,
która popłynęła okrętem
do Hilo — jednak wróciła
i zaczęła wszystko od początku



Ahoj, kapitanie!

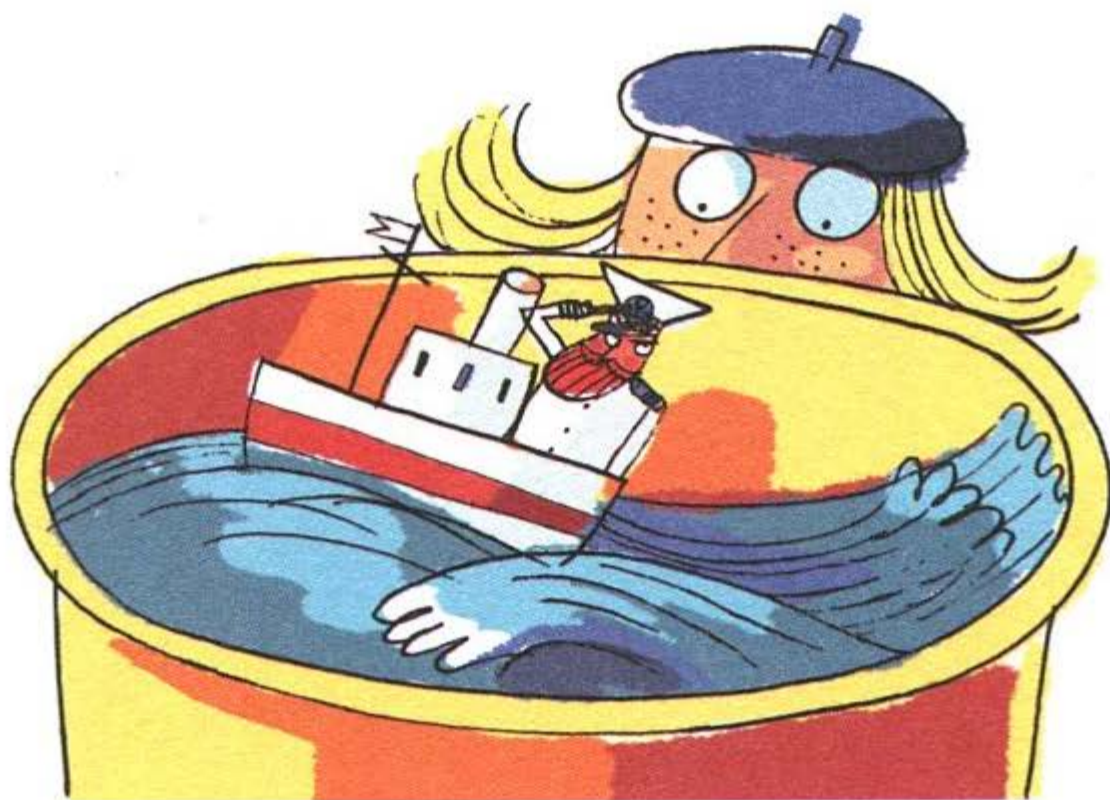


Tak rozmawiały ze sobą dwie pasiaste skarpetki ozdobione czarną kotwicą. Mała Be nosiła je, gdy była bardzo małą Be. Mama zakładała jej wtedy marynarskie ubranko, które odziedziczyła po synku koleżanki, wsuwała jej na głowę granatowy berecik, a na nóżki – właśnie skarpetki z kotwicą. Be udawała wtedy, że jest dzielnym marynarzem.

Przynosiła mamie z łazienki plastikowy statek do zabawy w kąpiel, a mama wkładała go do miski z wodą, sadzała na nim małego plastikowego marynarza i opo-

wiadała córeczce bajki o przygodach morskich wilków.

Te czasy odeszły już jednak w niepamięć, a raczej w niepamięć Be i jej Mamy, bo same skarpetki pamiętały je doskonale. Marzyły też, że jeszcze kiedyś usłyszą opowieść o rudobrodym kapitanie, który ukrył na bezludnej wyspie wielki skarb, o syrenach, które tkwały sieci ze swoich włosów i łapały w nie złote rybki, o ptakorybach, które wily gniazda w rafie koralowej, albo o ludziach z rybimi głowami, zamieszkujących głębiny oceanu.



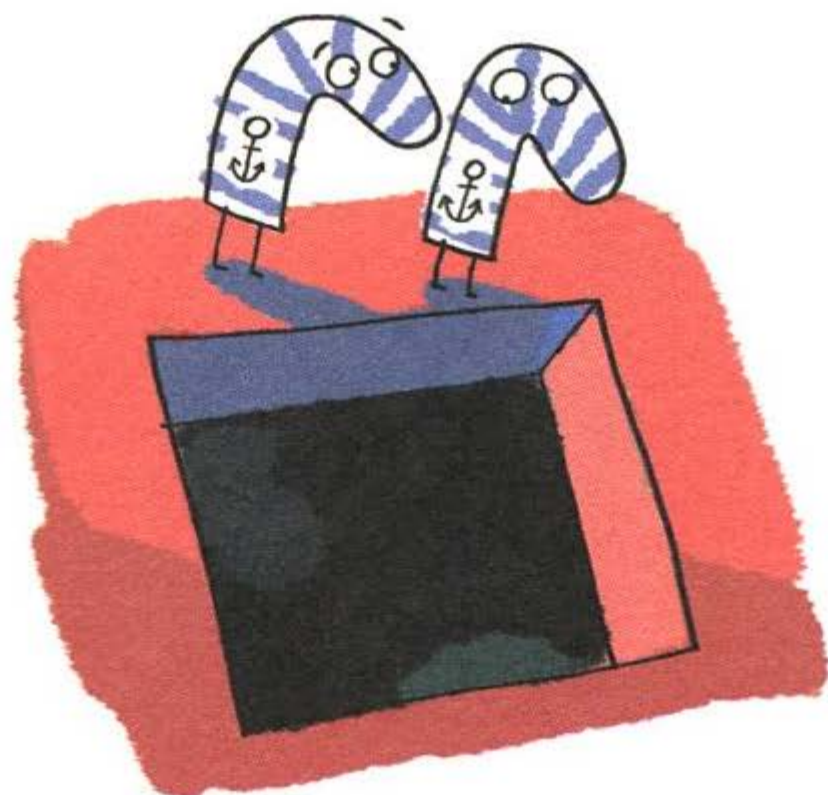
Póki co jednak, skarpetki miały do dyspozycji jedynie własne wspomnienia – chociaż to wcale nie było mało.

– Kapitanie – powiedziała pewnego dnia prawa skarpetka – uciekajmy stąd, nic nas tu już nie czeka. Zaciągniemy się na statek i popłyniemy hen, daleko w świat, gdzie spotkają nas wszystkie te fantastyczne przygody, o których mówiła Mama.

– Dobrze, bosmanie – odpowiedziała lewa skarpetka. Jednak kiedy obie zbliżyły się do brzegu dziury pod pralką, lewa zmieniła zdanie.

– Boję się, nie wiem, co mnie tam czeka. Jeśli chcesz, idź beze mnie. Kiedyś wrócisz i wszystko mi opowiesz, będzie tak, jakbyśmy podróżowały razem.

Skarpetka prawa uściskała siostrę, dyskretnie otarła łzę i zniknęła w czarnej dziurze.

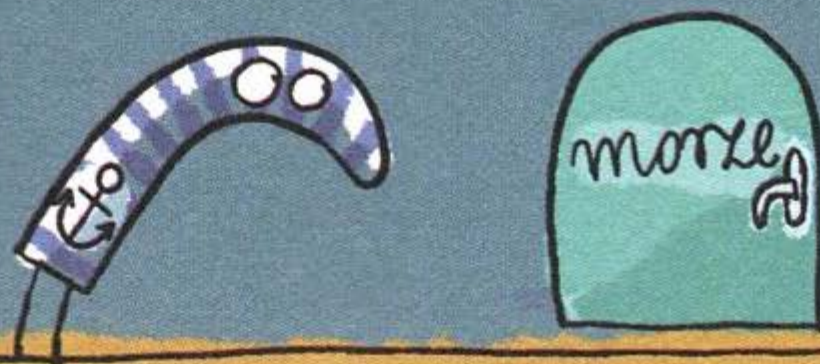


Szła, szła i szła krętym korytarzem, aż wreszcie
trafiła na małe drewniane drzwiczki,
na których było napisane: GÓRY.

„To chyba nie tu” – mruknęła do siebie i wędrowała dalej.



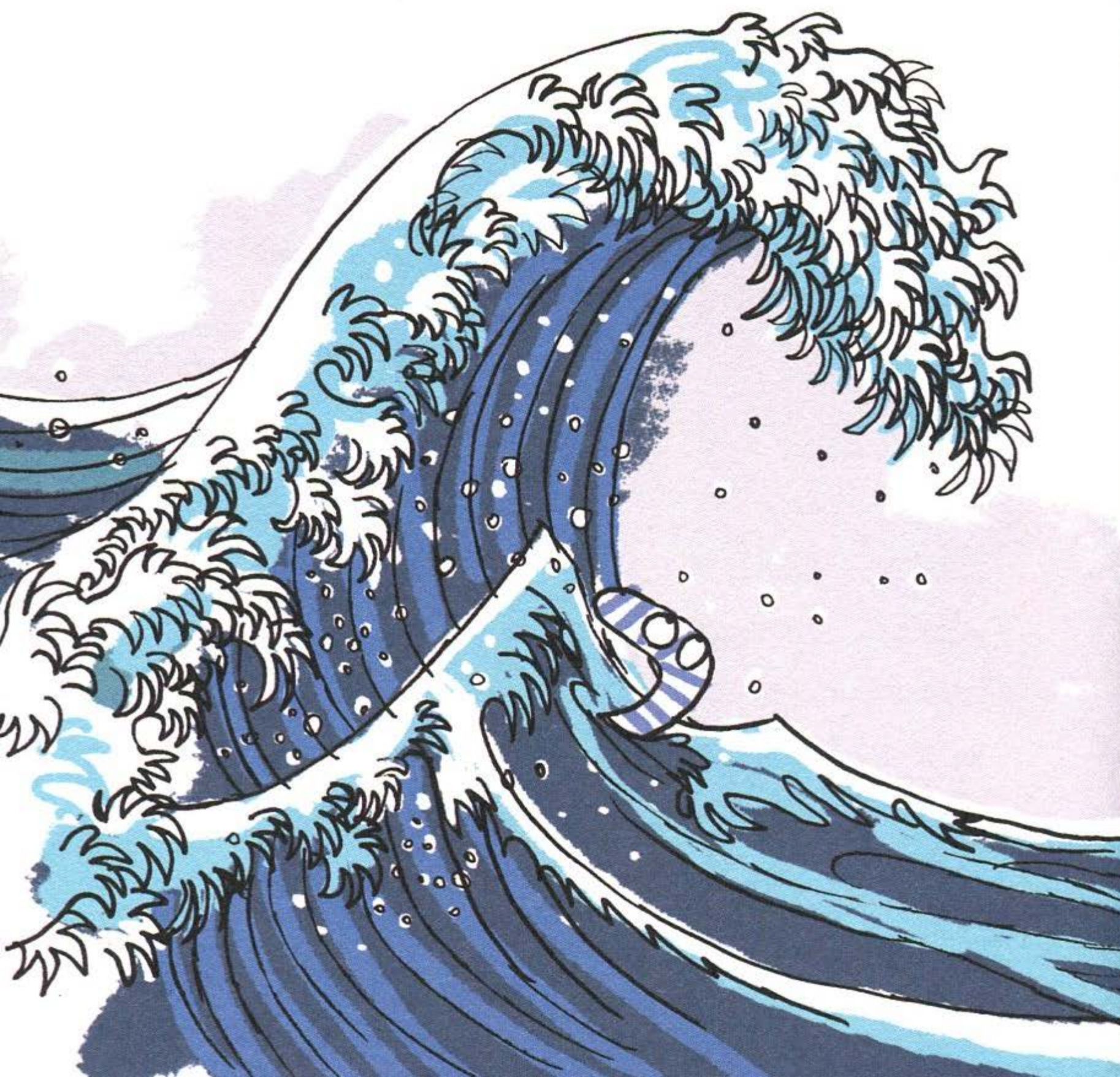
Po całym dniu człapania i sapania dotarła do drzwi z tabliczką
MORZE i mocno je popchnęła.





Zaraz też owiał ją wiatr, niosąc zapach wody, ryb i mokrego piasku. Morze było granatowe, wielkie i wcale nie przypominało miednicy ani wanny, w której pływał plastikowy stateczek małej Be. Właściwie było tak ogromne, że aż groźne. Spłoszona skarpetka skuliła się i pożałowała, że uciekła z bezpiecznego kosza z brudną bielizną.

Wyglądała jak mały biedny śledź, którego morze wyrzuciło na piasek. I prawdopodobnie za śledzia wzięła ją rybitwa, która nagle spadła z nieba i porwała naszą skarpetkę w górę. Leciąca i leciąca, a gdy się zorientowała, jaki głupi błąd popełniła, wypuściła skarpetkę z dzioba.



Biedactwo wpadło do wody i pewnie taki byłby jej koniec, gdyby nie zaplątała się w sieć rybacką i wraz z nią nie została wyciągnięta z wody. No i czy uwierzycie? To naprawdę nie do wiary! Maleńka skarpetka z kotwicą wylądowała na pokładzie plastikowego stateczku, tego samego, którym bawiła się mała Be.



Dowodził nim dobrze jej znany plastikowy kapitan, któremu gdzieś zagubiła się jedna noga i musiał kuśtykać, podpierając się patyczkiem do lodów.

– Ahoj, dzielny żeglarzu! Dokąd to wiatry prowadzą?

– zapytała z ciekawością skarpetka.

– Ahoj – odpowiedział kapitan – płynę do Hilo. Tam gromadzą się wszystkie stare okręty i wszyscy starzy kapitanowie, którzy przechodzą na emeryturę.

– Przecież nie jesteśmy starzy! Ledwo zaczęliśmy swój rejs!

– Ech, przyjacielu... – Plastikowy kapitan wyciągnął z kieszeni plastikową fajeczkę. – Nasze najważniejsze rejsy już się dawno odbyły. Czy nie opłynęliśmy wanny dookoła? Czy nie spotkaliśmy tych wszystkich fantastycznych stworów, o których opowiadała Mama małej Be? Dziś dziewczynka wyrosła już z bajek, wyrosła z zabawek, więc nam, starym wilkom morskim, należy się zasłużony odpoczynek.

Słowa kapitana przeraziły skarpetkę. Czyżby taki miał być kres jej marzeń o przygodach?

– Chcę wracać – zawołała zrozpaczona. – Odwieź mnie z powrotem do brzegu! Chcę wrócić do mojej siostry.

– To niemożliwe – uśmiechnął się smętnie plastikowy kapitan. – Nie można zawrócić z rejsu do Hilo.

Czy miał rację? Jasne, że nie miał. Wszystko to guzik prawda. Gdy się jest dzielną skarpetką z kotwicą, nie ma rzeczy niemożliwych.



Nasza żądna przygód bohaterka
wdrapała się na maszt i zawołała:

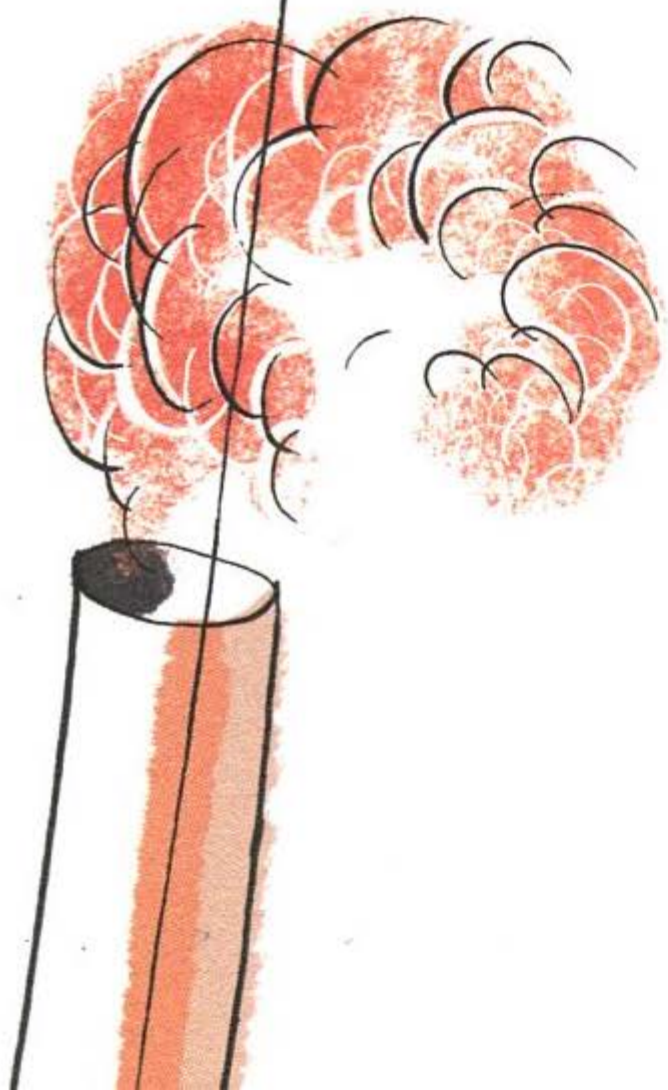


Hej, hej, wietrze!

- Czego chcesz, stara skarpetko? - zapytał wiatr, co zabrzmiało dość nieuprzejmie.

- Zanieś mnie na brzeg morza!

- Dobrze - powiedział wiatr i porwał ją w górę.



- Żegnajcie - zdołała jeszcze krzyknąć w stronę kapitana i stateczku, a potem zniknęła w przestworzach.

Wiatr dotrzymał słowa, chociaż rzucił ją na brzeg niezbyt delikatnie. Ale co tam - grunt, że skarpetce udało się odnaleźć maleńkie drzwiczki, przez które dostała się na plażę. Te same, na których widniał po jednej stronie napis MORZE. Jak się okazało po drugiej stronie miały one przybitą tabliczkę z napisem PRALKA, więc nie było wątpliwości, że to właściwy kierunek.



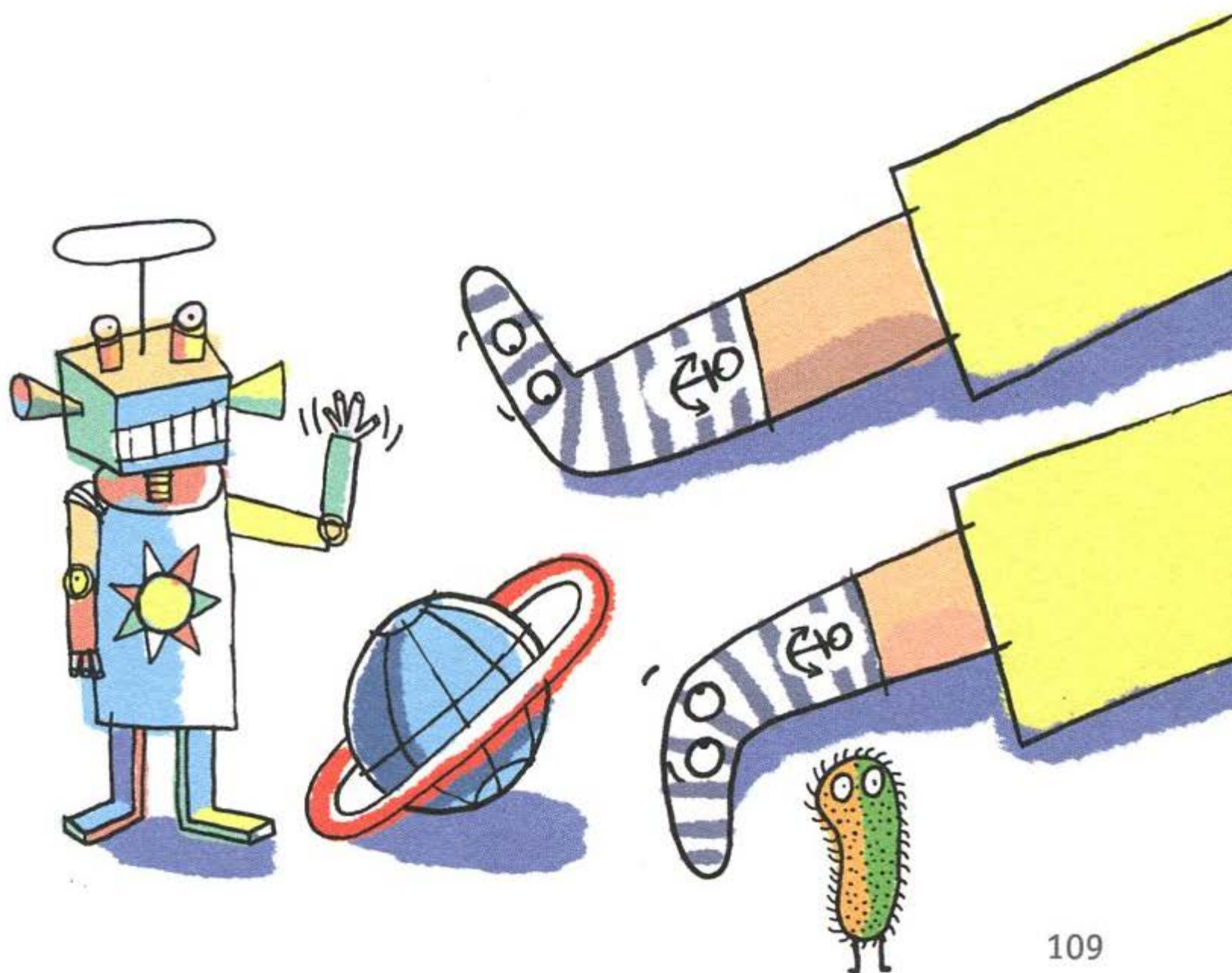
Gdy nieco zmęczona prawa skarpetka wynurzyła się z dziury pod pralką, od razu zobaczyła zapłakaną i stęsknioną lewą skarpetkę. Padły sobie w ramiona i tak mocno się przytuliły, że aż zwinęły się w elegancki kłębek. I tak znalazła je mała Be.

– Mamo! – zawołała – popatrz! Moje stare skarpetki!

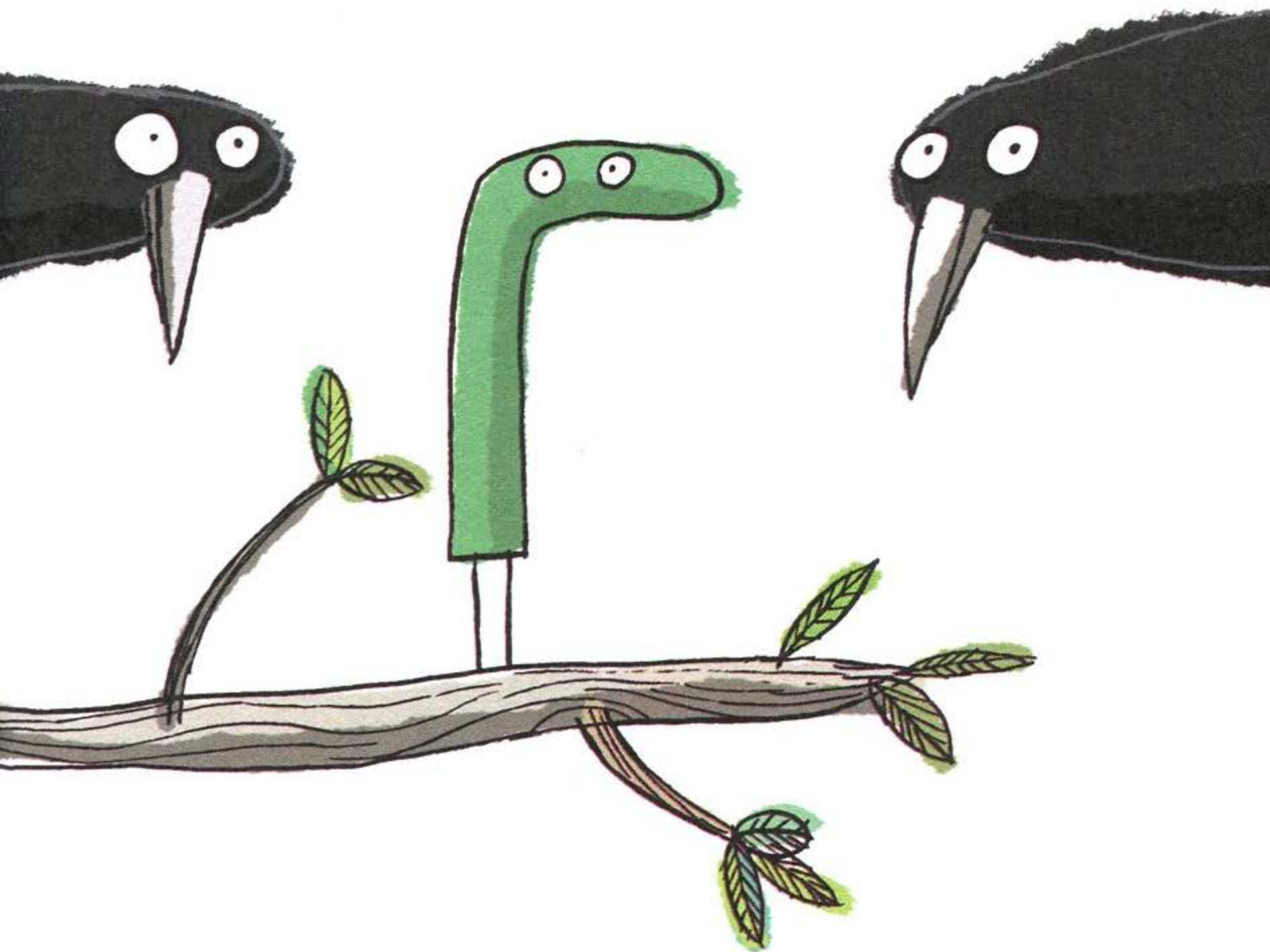


– Oj tak – uśmiechnęła się Mama – Pamiętasz, córeczko, jak przebierałam cię za marynarza? Musimy je wyprać i przekazać jakiemuś maluszkowi.

No i to już prawie koniec tej opowieści, a właściwie nowy początek, bo chłopczyk, na którego stópki wsunięto skarpetki z kotwicami bardzo lubił, kiedy jego dziadek opowiadał mu bajki. Nie były to wprawdzie bajki o morzu, tylko o śpiących w górach rycerzach, o sprytnych robotach latających w kosmos albo o królestwie, w którym mieszkały same bakterie. Nie szkodzi. Skarpetkom i tak się to bardzo, baaaaaaardzo podobało.

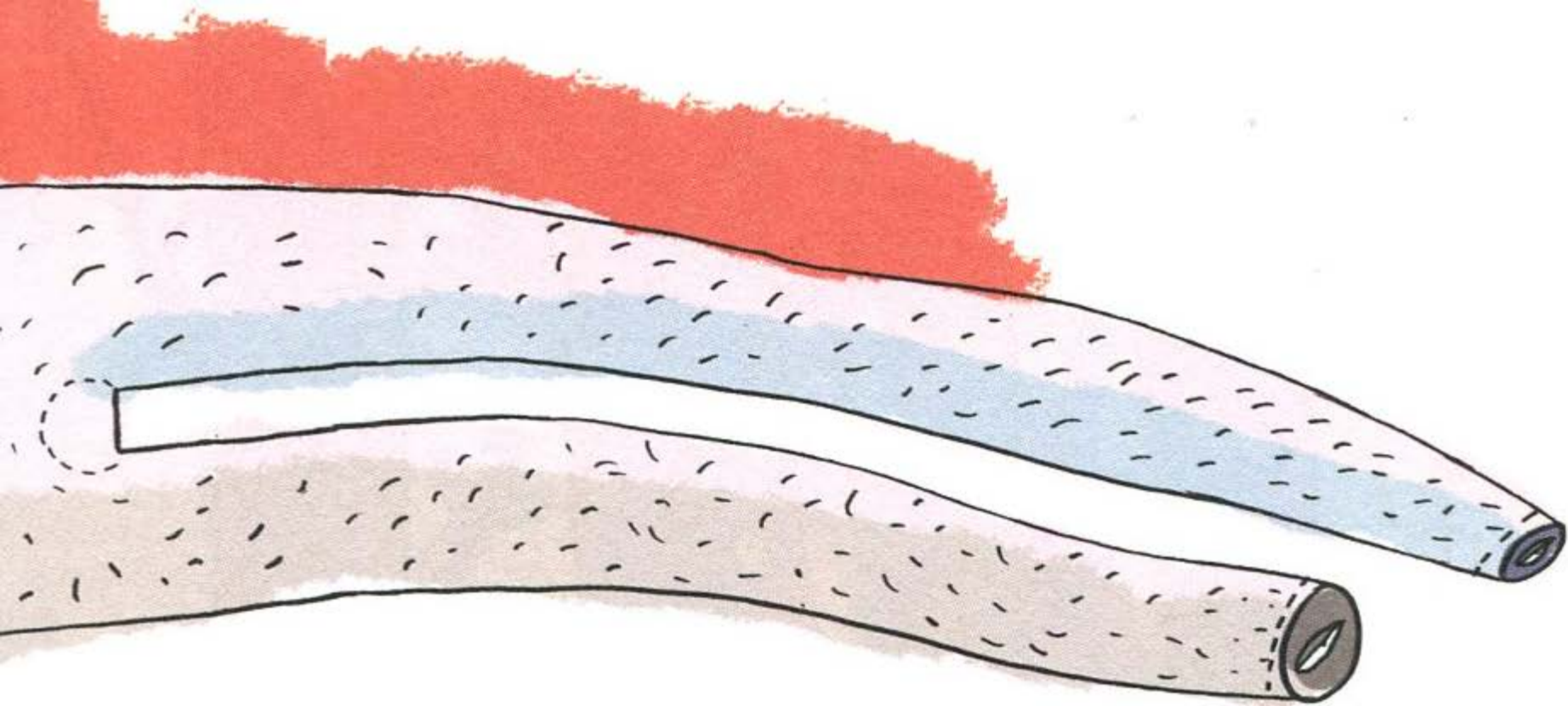


Opowieść o skarpetce ósmiej,
która uszczelniała wronie gniazdo
i zaprzyjaźniła się z wroną
– bo wrony są fajne!



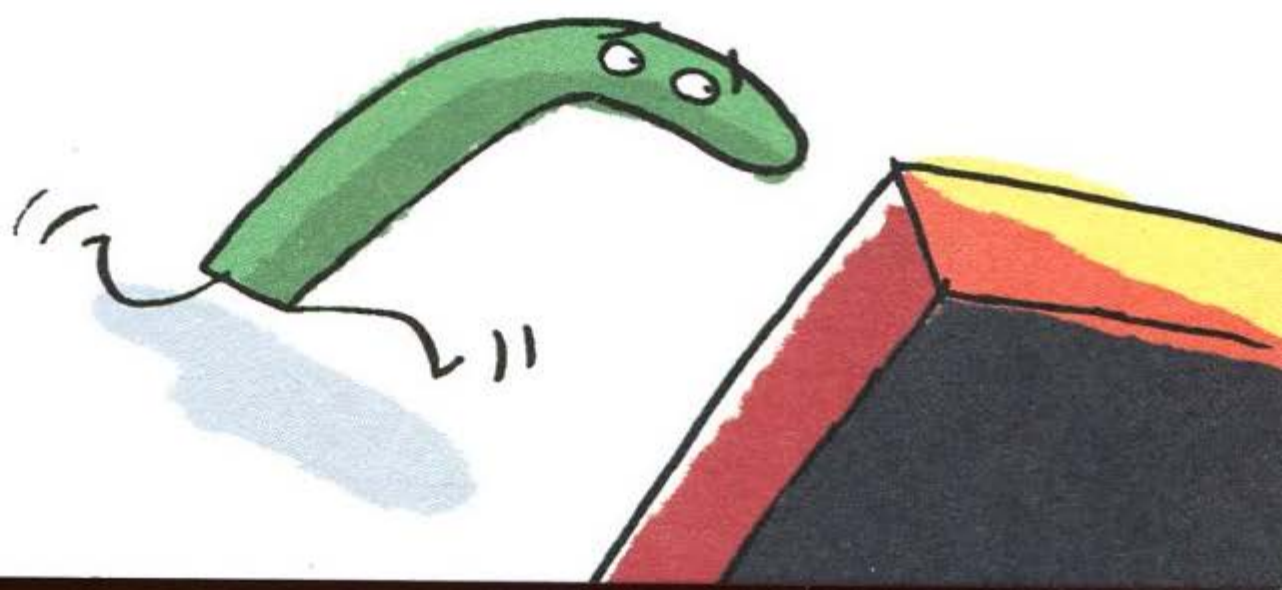
Prawa zielona skarpetka uciekła w pewien piątek, gdy nikt nie patrzył. Nie podobał jej się sposób, w jaki odzywały się do niej zimowe ka-lesony Taty. Nie wchodząc w zbędne szczegóły, spoufalały się i były dosyć bezczelne.





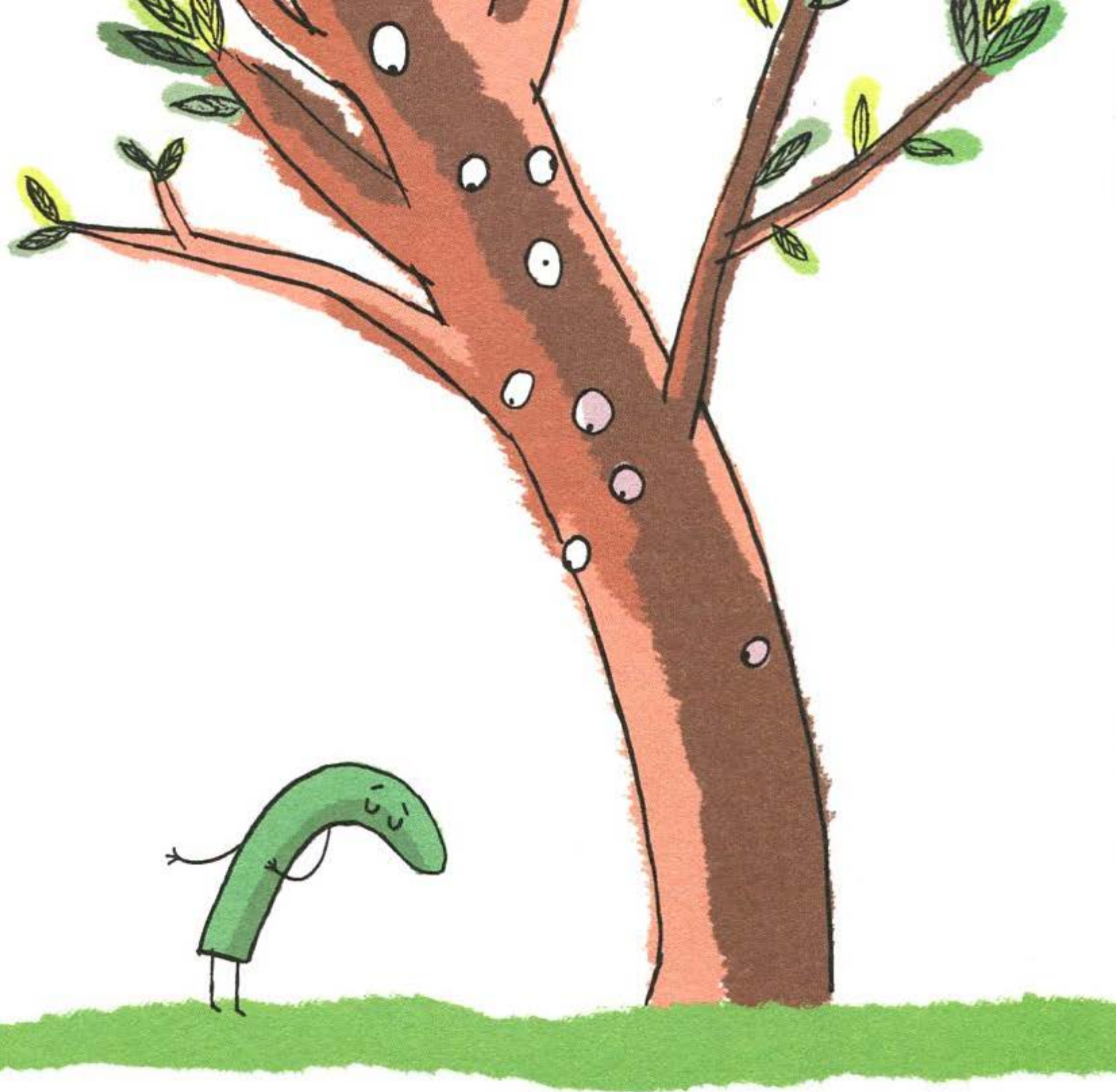
Przyznacie bowiem, że mówienie „Hej, mała!” albo: „Jaka masz słodką piętę!” – i to w najmniej spodziewanym momencie – może być dosyć uciążliwe. Z drugiej strony trudno się ka-lesonom dziwić: zimowa garderoba z natury rzeczy jest bowiem gruboskórna.

Te problemy zupełnie nie dotyczyły zielonej skarpetki lewej, która leżała sobie spokojnie między różowym podkoszulkiem Be i niebieską koszulą Mamy, prowadząc miłe kobiece rozmówki na poziomie. Tak więc zielona prawa po prostu wskoczyła pod pralkę, i tyle ją widzieli.





Po drugiej stronie korytarza czekał na nią wspaniały buczynowy las pełen spojrzeń. Na pniach drzew widać było ogromne, szeroko otwarte oczy, które zdawały się patrzeć na otaczający świat uważnie i życzliwie. Rzecz jasna, nie były to prawdziwe oczy, tylko takie wyrostki na bukowej korze, ale skarpetka o tym nie wiedziała.



Dlatego szła, cały czas kłaniając się drzewom i powtarzając „dzień dobry”, „ładny mamy dzień” oraz „jak się pan miewa”. A drzewa, jak to drzewa – szumiały sobie spokojnie, co skarpetce zupełnie wystarczyło.

„Świat jest piękny” – myślała, nie bacząc na to, że z każdym krokiem coraz bardziej oddala się od kosza z brudną bielizną.

Tymczasem na granicy lasu i pola rzepaku słysząc było taką oto rozmowę.

– **Cały dzień cię nie ma, lataasz gdzieś tylko, a ja nie mam do kogo dzioba otworzyć!**

– Jesteś po prostu niesprawiedliwa, moja droga. Czy musisz się uganiać za robakami? Nie! A za myszami? Też nie! Tymczasem, czy deszcz, czy upał, ja ci to wszystko przynoszę prosto do dzióbka. Jaśnie pani tylko siedzi w komforcie i marudzi!

– **W komforcie?! W komforcie?! Nie bądź śmieszny!** Popatrz na tę wielką dziurę w gnieździe, przez którą wpada wiatr i chłodzi mi jaja! Co ja wysiedzę, wygrzeję, to on zaraz zawieje i wymrozi! Ładny mi komfort!

– To może usadź swój gruby kuper na dziurze, a wiatr nie będzie przez nią wpadał!

– **Ej, bo jak cię dziobnę, to zobaczysz! Ja, gruby kuper?** Może się sam przejrzyj w kałuży, co! Też coś! **Gruby kuper!** Żebyś wiedział, że jak lataasz sobie po świecie, to przylatują tu do mnie różne wrony i gdybym tylko chciała, bez trudu znalazłabym sobie sympatyczniejszego męża!

– No już, nie bocz się, moja kochana... Wiesz przecież, że w całym buczynowym lesie nie ma piękniejszej wrony od ciebie!

– **Gruby kuper!**

- No, najdroższa, zaraz polecę i przyniosę trochę liści, żeby uszczelnić nasze gniazdko!

- Gruby kuper, też coś!

No tak, już się pewnie domyśliliście, rozmowę prowadziło wronie małżeństwo, zamieszkujące gniazdo na wierzchołku wielkiego starego buka.

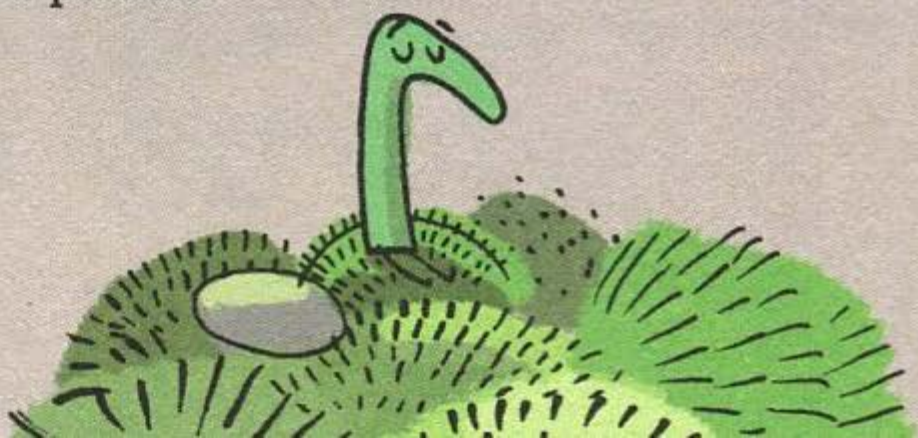
Choć ptaki kłóciły się praktycznie codziennie, była to bardzo kochająca się para, która bez siebie po prostu nie mogła żyć. Pan Wrona dla pani Wrony dałby się oskubać, ona dla niego obleciałaby całą Ziemię dookoła.





Oczywiście, dziura w gnieździe była poważnym problemem, przede wszystkim ze względu na jajka, które pani Wrona właśnie wysiadywała. Nie chodziło tylko o to, że wiatr mógłby je przewiać i pisklaki nabawiłyby się kataru jeszcze przed wykluciem się z jajek. Po prostu któryś z nich mógłby wypaść, nim nauczy się latać i tragedia gotowa.

Dlatego trzeba było sprawę załatwić jak najszybciej i pan Wrona doskonale o tym wiedział. Leciał teraz nad ścieżką, biegnącą przez środek lasu, rozglądając się uważnie za coś, czym można byłoby skutecznie załatwić nieszczęście. W pewnej chwili dostrzegł naszą zieloną skarpetkę, która na moment przysiadła na mchu i wstuchiwała się w śpiew ptaków.



„Oto coś w sam raz dla mnie” – pomyślał pan Wrona, pikując w dół. I już po chwili wracał do swojej pani Wrony, dumnie niosąc w dziobie znalezisko.

– Teraz powinno być dobrze – zakrakał, upychając prawą zieloną skarpetkę w dziurze. – Teraz żaden wiatr nie będzie nam straszny.

Pani Wrona wciąż była odrobinę nabzdyczona z powodu „grubego kupra”, dała się jednak udobruchać, bo załatane gniazdo faktycznie stało się bardzo komfortowe.

Z czasem też okazało się, że ze skarpetką można sobie trochę poplotkować, poobgadywać męskie skarpetki albo ptaki rodzaju męskiego – a wiadomo, że nikt tak dobrze nie zrozumie kobiety jak druga kobieta.



Jednak prawdziwe korzyści z obecności skarpetki w gnieździe ujawniły się, gdy na świat przyszedł pisklęta. Prawa zielona pomagała wronom pilnować dzieci i dzięki temu wronia para mogła sobie polecieć na randkę, albo po prostu rozprostować skrzydła. W roli opiekunki małych wroniąt zielona skarpetka czuła się naprawdę wyśmienicie.



Opowieść o skarpetce dziewiątej,
która została prywatnym detektywem
i schwytana złodzieja ciasteczek
-wstrętnego włochatego Tobuza!





Mama, Tata i mała Be siedzieli w kawiarnianym ogródku przy stoliku z parasolką i zajadali lody. Kelnerka z cukierni „Gwiazdeczka” przyniosła im też trzy porcje świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy.

– Czy życzą sobie państwo coś jeszcze?

– Ja chętnie zjadłbym kilka kocich języczków – odezwał się Tata.

– A ile konkretnie by pan zjadł?

– Trzy... Nie, nie, dwa... – Tata nerwowo zerkał na mamę, która rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. – Poproszę o jeden koci języczek, taki najmniejszy – uśmiechnął się przymilnie.

Kelnerka skinęła głową, po czym znikła w kawiarni. Przez



szybę widać było, że podchodzi do dużego słoja, w którym zawsze leżały najlepsze na świecie kocie języczki. I nagle zamiera, a potem powietrze przecina jej pełen gniewu krzyk:

– O nie! Znowu on!

– Muszą mi państwo wybaczyć – zwróciła się do rodziców małej Be. – Ale nie mamy już języczków. Od paru dni jakiś niewidzialny złodziej wnosi nasze najlepsze smakołyki.

– Coś podobnego! – Mama, Tata i Be byli wstrząśnięci. A potem, chcąc nie chcąc, zamówili galaretkę z bitą śmietaną. Nie mieli zielonego pojęcia, że wszystkiemu przysłuchują się nieco przybrudzone seledynowe skarpetki, które Tata przez roztarżnienie założył do sandałów...



Po długim, upalnym dniu seledynowe skarpetki trafiły do prania i wreszcie mogły spokojnie porozmawiać.

– Faktycznie, coś podobnego – powtórzyła seledynowa skarpetka lewa do seledynowej skarpetki prawej – nie mogę tego tak zostawić!

– Ale co ty, kochana, chcesz zrobić? Złapać złodzieja?!

– Oczywiście! Zastawię pułapkę i schwytam tego amatora kocich języczków na gorącym uczynku!

– A rób sobie, co ci się żywnie podoba, ja się nie ruszam z kosza z brudną bielizną. Mnie tu jest dobrze!

Lewa skarpetka uśmiechnęła się pobłaźliwie, a potem – hop! – wskoczyła w sam środek nowej przygody.

Z łatwością trafiła z powrotem do cukierni „Gwiazdeczka”, która o tej porze była już pusta.

Dzień miał się ku zachodowi (a to znaczy, że wielka purpurowa słoneczna kula schowała się za lasem, po to, żeby następnego dnia wynurzyć się nad sklepem spożywczym „Jagoda”).

Pani Mariola, kawiarniana kelnerka i kasjerka w jednej dość tłuściutkiej osobie, wycierała stoliki różową szmatką. Potem zdjęła z szyi mały złoty klucz

i starannie pozamykała gabloty z kruchymi ciastkami, których nie trzeba było chować do lodówki. Zamknęła też samą kawiarnię.

Skarpetce udało się wślizgnąć do środka dosłownie w ostatniej chwili. Przycupnęła pod jednym ze stolików i czekała. Najpierw nie działo się nic. To znaczy, oczywiście, Ziemia kręciła się jak zawsze, na niebo wyszedł Księżyc w towarzystwie sporej gromady zapatrzonych w niego drobnych gwiazd. Skarpetce zdawało się, że słyszy ich pełne radości rozmowy. Poza tym jednak nic – spokój i nuda.

W pewnej chwili, poza chichotem gwiazd, do seledynowych uszu skarpetki doleciał jeszcze jeden dźwięk: ktoś delikatnie próbował pchnąć okno. Skarpetka zamarła, bo faktycznie w oknie pojawiła się jakaś tajemnicza postać. Teraz słychać było ją wyraźnie – jednak w ciemności pozostawała prawie całkowicie niewidoczna.

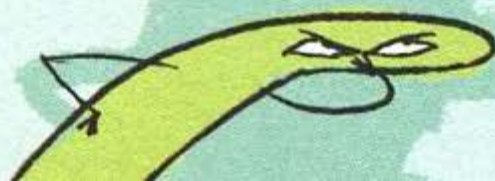
Skulona seledynowa skarpetka była pewna, że ktoś buszuje przy słoju z landrynkami, jednak w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi, by rzucić się na złodzieja.



Bo, oczywiście, był to złodziej. Zakradł się do landrynek, zakradł się do kokosanek i do wafelków na wagę. Wszystkie gabloty – rach, ciach – otworzył wytrychem. Żeby jeszcze uszanował pracę pani Marioli, ale – nie. Od razu obżerał się ciastkami, bo kiedy kelnerko-kasjerka przyszła następnego ranka do kawiarni „Gwiazdeczka”, wszędzie było pełno okruchów.

– Jakbym tu wcale nie sprzątała! – Pani Mariola załamywała ręce.

Seledynowa skarpetka była bardzo z siebie niezadowolona. „Następnym razem łobuz się nie wymknie” – pomyślała, a w jej głowie zrodził się szatański plan.





Następnego dnia wszystko przebiegało dokładnie tak, jak poprzedniego wieczora – z jednym wyjątkiem.

Gdy pani kelnerka poszła do domu, a Księżyc pojawił się na niebie, seledynowa skarpetka zbliżyła się do lodówki i wyciągnęła z niej kubetek bitej śmietany. Potem starannie posmarowała nią parapet i podłogę pod oknem.

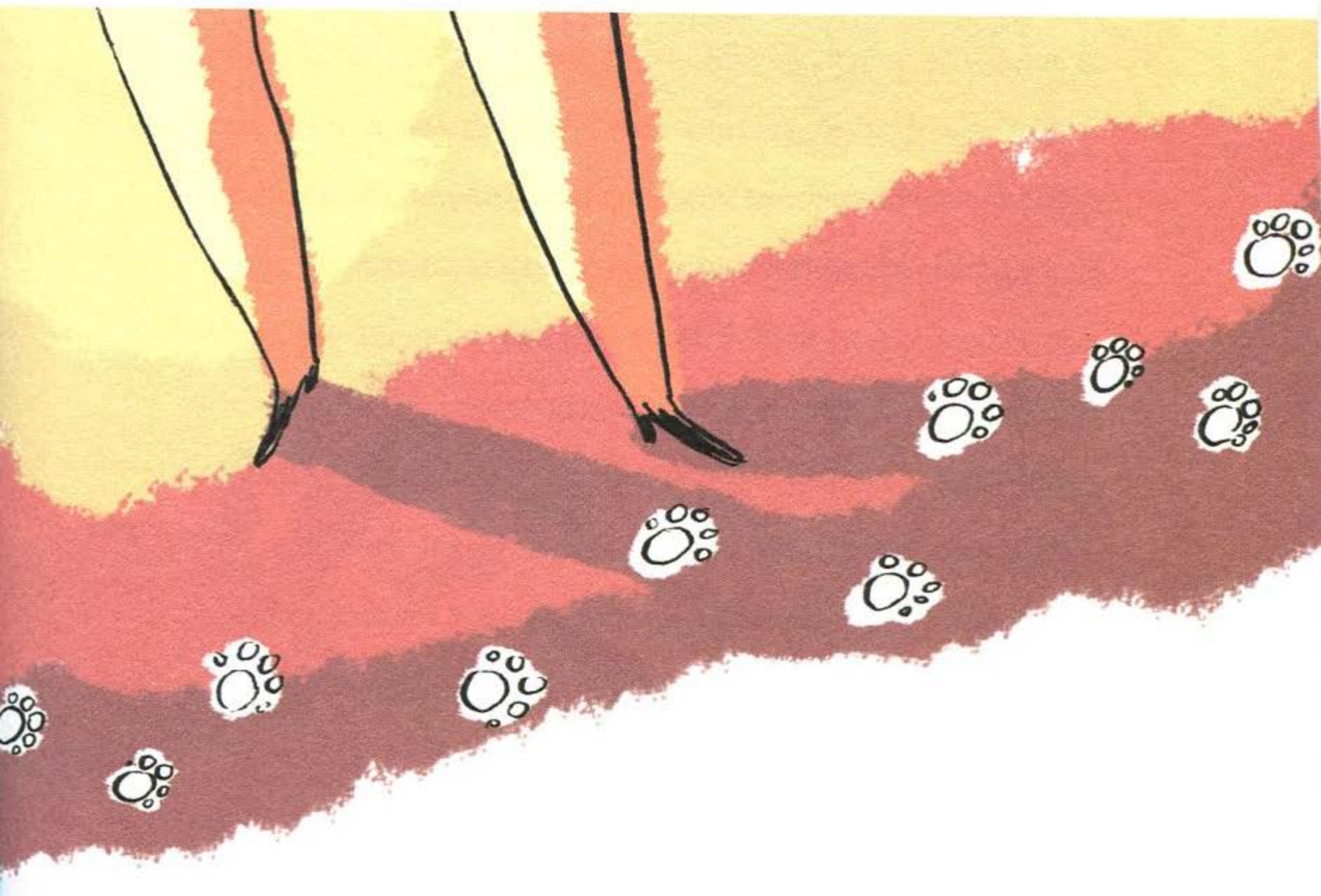
Chwilę później nocny złodziej znów zakradł się do cukierni. Było go słyszeć, choć dla skarpetki pozostawał niewidzialny.

Jednak rano ślady jego zbrodniczej działalności były doskonale widoczne.

Podłoga wokół stołu z cukierkami i gablot z ciastkami nosiła ślady drobnych nóżek.

Te nóżki najpierw pomaszerowały do jednej szafki, potem do drugiej, a wreszcie wróciły na parapet i zniknęły w mrokach nocy. Ich odbicia widać było jednak na chodniku i rozgniewana pani Mariola, uzbrojona w miotłę, podążyła ich śladem.

Winowajca znalazł się w śmietniku. Siedział sobie spokojnie w kontenerze i zajadał resztki wędzonej makreli, którą ktoś wyrzucił.





- Ty łobuzie - wrzasnęła do kota kelnerka.

Bo oczywiście złodziejem był czarny jak noc i nocą całkowicie niewidoczny kot.

- Ty łobuzie, ty landrynkożerco, złodzieju kocich języczków!
A masz! - W ruch poszła miotła Marioli.

Kot rzucał się przerażony między kontenerami, aż wreszcie udało mu się czmychnąć między rozstawionymi nogami kelnerko-kasjerki i nie widziano go przez dobry tydzień.

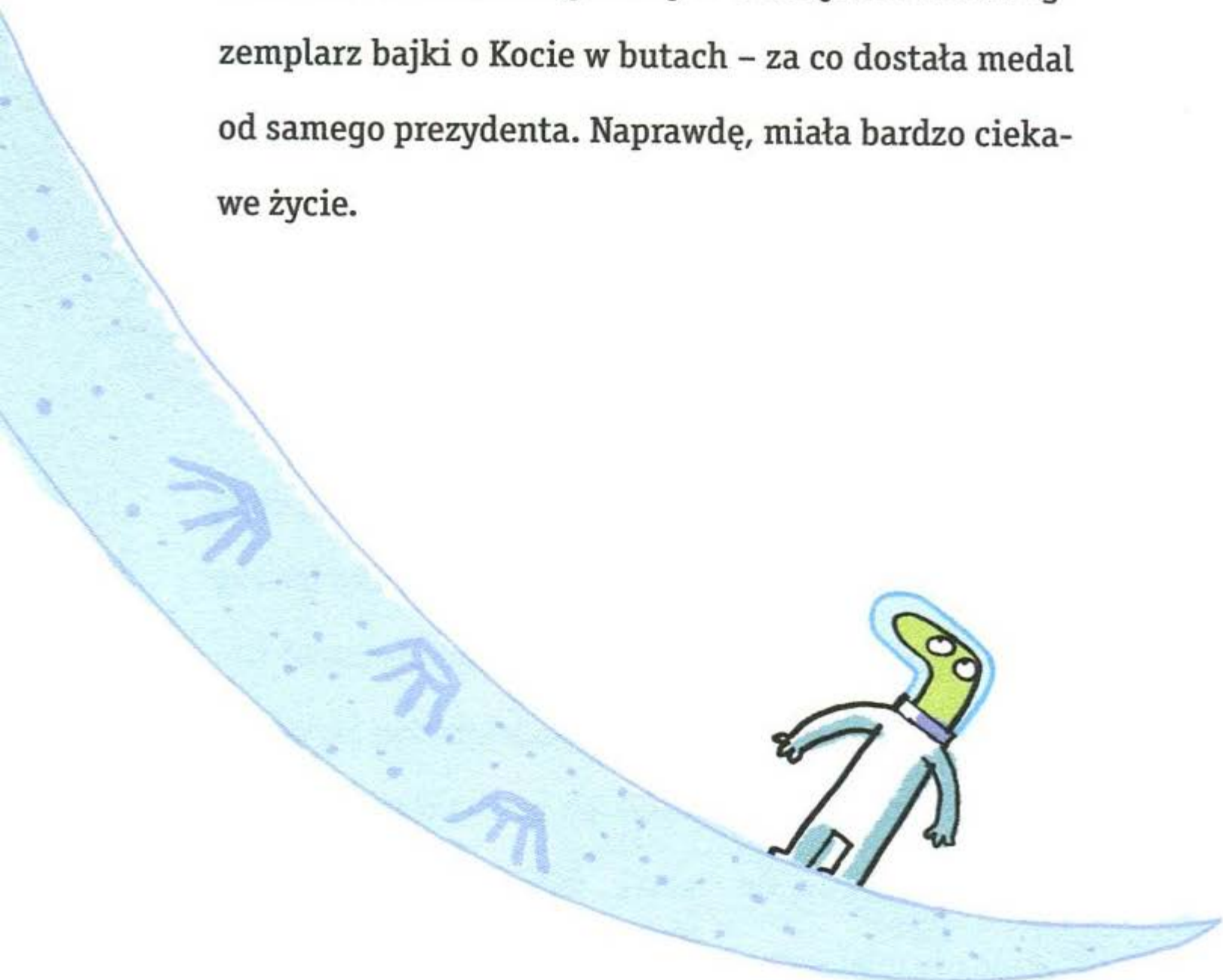




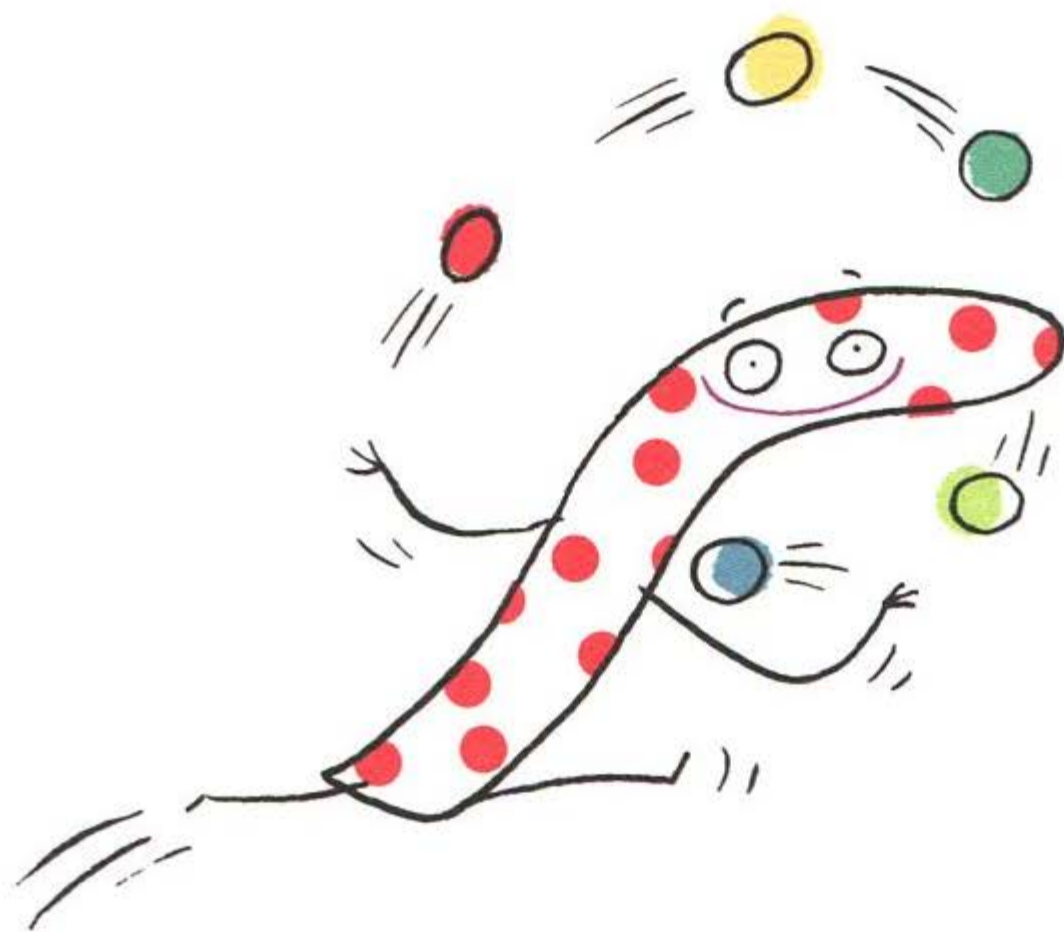
Tymczasem w cukierni „Gwiazdeczka” zamieszkał pewny siebie rudy Jamnik o imieniu Gacek i sama jego obecność stanowiła skuteczne zabezpieczenie przed złodziejskimi zapędami kota. Nie myślcie sobie – oczywiście po pewnym czasie łobuz znów próbował dostać się do ciastek, jednak w starciu z Gackiem zupełnie nie miał szans, więc cała operacja zakończyła się dla niego ucieczką na latarnię.

Pewnie jesteście ciekawi, co stało się z seledynową skarpetką. Nie, nie wróciła do kosza z brudną bielizną. Praca detektywa wciągnęła ją na dobre. Tym bardziej, że zaczęła dostawać bardzo interesujące sprawy do rozstrzygnięcia i w dodatku wszystkie rozwiązała!

Rozwikłała zagadkę tajemniczej zjawy i zniknięcia znanego astronoma (znalazł się na Księżycu). Sprowadziła też do Polski zaginiony w dawnych czasach egzemplarz bajki o Kocie w butach – za co dostała medal od samego prezydenta. Naprawdę, miała bardzo ciekawe życie.



Opowieść o skarpetce dziesiątej,
która pomogła odzyskać dobry humor
choremu dziecku i dostała
bardzo ważne stanowisko w szpitalu



Przyszedł wreszcie czas, byście się dowiedzieli, jaki był los dziesiątej skarpetki – białej, w czerwone kropki, pochodzącej z prawej stópki małej Be. Strasznie z niej było ruchliwe i niesforne stworzenie. Lubiła się wygłupiać, biegać i jeździć na hulajnodze. To trochę przez nią Be miała od czasu do czasu podrapane kolana.

– Czemu tak latasz i latasz, jakby ci się świderek wkręcił w pupę? – pytała Mama.

Nie, żeby się gniewała, po prostu pytała. A Be wzruszała tylko ramionami, bo co miała powiedzieć? Że to nie jej wina, tylko skarpetek? Przyznacie, że brzmi to po prostu śmiesznie.

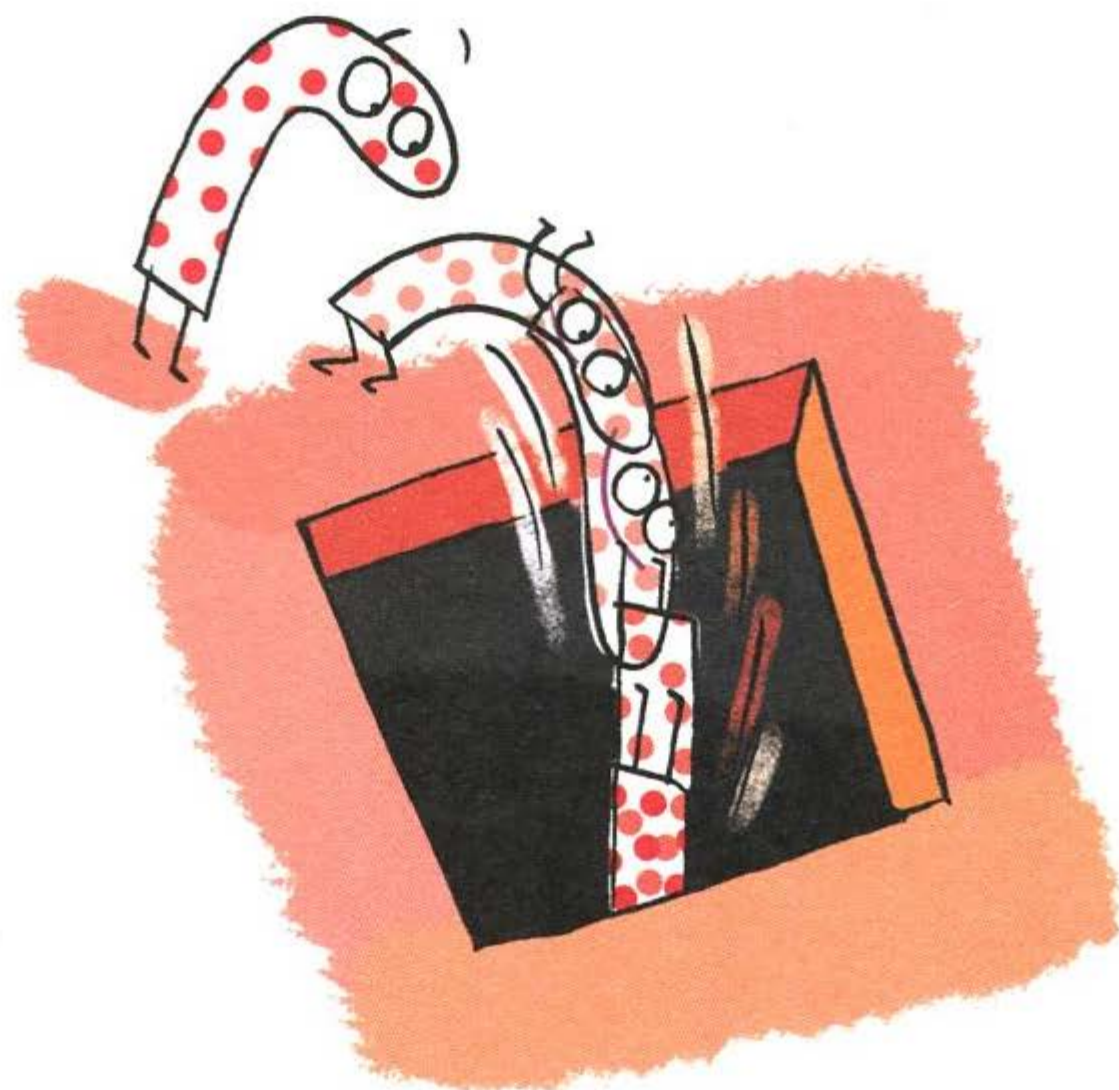
Przyszedł też taki dzień, gdy Be musiała grzecznie siedzieć przy stole z dorosłymi i skarpetki w kropki, a szczególnie ta prawa, po prostu skręcały się z nudów i z bezruchu. Nie rozweselił ich nawet fakt, że Be – próbując nalać sobie sok z czarnej porzeczki – zalała się nim od stóp do głów, dodając przy okazji skarpetkom kilka malowniczych plam, które, w przypadku tej prawej, ułożyły się w kształt uśmiechniętej mordki.

Kiedy wreszcie wszyscy wrócili do domu, a Mama
kazała córce wrzucić poplamione ubranie do kosza
z brudną bielizną, skarpetka prawa wyskoczyła z niego
jak z procy:

– Ależ się wynudziłam, wysiedziałam, ależ mnie
nosi! – I, ding, ding, ding, zaczęła skakać po całym
schowku.

– I co teraz, będziesz się tu wiercić? – spytała skar-
petka lewa.

– A, sama nie wiem... Chyba się pójde przejść. No to
nara! – I zniknęła w dziurze pod pralką.





Ciemny korytarz zaprowadził ją na ulicę wielkiego miasta. Było już szarawo, padał drobny deszcz i ogólnie wszystko wyglądało niezbyt zachęcająco. Ludzi jak na lekarstwo, tym bardziej uwagę skarpetki przyciągnął pewien pan w kapeluszu, który włókł się noga za nogą, jakby każdy krok był dla niego strasznym wysiłkiem.



Skarpetka podeszła do niego, zaciekawiona.

– Hej! – zawołała cichutko, ale on nie zwrócił na nią uwagi, zatopiony w ponurych jak burzowe chmury myślach.

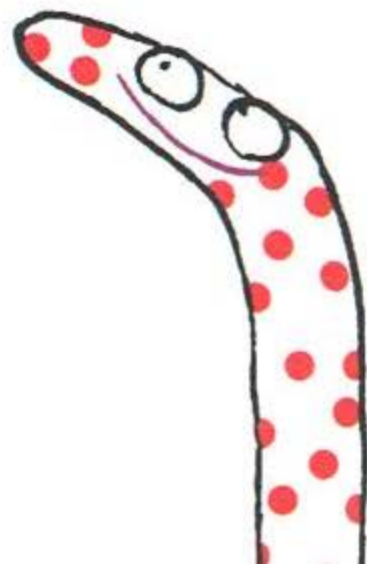
Skarpetka podreptała więc za nim.



Pan w kapeluszu miał o czym myśleć. Martwił się o swojego synka, który był chory i od paru dni leżał w szpitalu. Lekarze robili, co mogli, żeby go wyleczyć. Chodzili dookoła, dawali lekarstwa, ale chłopiec był blady, bladziutki! Tacie pękało serce na widok jego małego, wymizerowanego pyszczka. Właśnie teraz szedł w odwiedziny do swojego chłopca i zastanawiał się, jak to zrobić, żeby się nie rozplakać, gdy synek spyta:

– Tato, kiedy wrócę do domu? – Bo tego tata nie wiedział.

W dodatku strasznie bolała go głowa i zupełnie nie miał na nic siły.



Stało się więc tak, że gdy doszedł do szpitalnego pokoju, w którym leżał mały Kajtek – czy ja powiedziałam, że chłopiec nazywał się Kajtek? Chyba nie... No więc gdy doszedł do szpitalnego pokoju i zobaczył przez szybkę, że nad Kajtkiem pochyliła się pielęgniarka i za moment robi mu zastrzyk, odwrócił się na pięcie i po prostu uciekł. Nie mógł na to patrzeć. Nie dziś.

Ale skarpetka została. I gdy wszyscy lekarze oraz pielęgniarki poszli już do swoich gabinetów, wskoczyła na kołdrę, a potem usiadła na poręczy łóżka.

– Cze-eść – powiedziała, uśmiechając się swoją zabawną buźką z plam z czarnej porzeczki.

– Cześć – powiedział Kajtek. – Co tu robisz?



– Przyszłam cię odwiedzić z braku lepszych rzeczy do roboty – powiedziała skarpetka. – Co ci jest?

– Jestem chory, ale lekarze mówią, że może wyzdrowieję.

– No, to gites majonez!

– Nie gites majonez, bo tak mi tu nudno, że aż mnie kręci w brzuchu i robię się tylko bardziej chory. W dodatku dają kisiel z jabłkiem, którego nie cierpię.


– A fu! Kto to widział, żeby dawać takie paskudztwa chorym dzieciom – skrzywiła się skarpetka.

– No fu! – Kajtek wywalił jęzor na brodę, żeby pokazać całe swoje niezadowolenie.

– Mam pomysł! – Skarpetka zeskoczyła z łóżka, a jej porzeczkowy uśmiech zrobił się jeszcze szerszy i trochę złośliwy – Zrobimy im dowcip!

A potem złapała brzeg prześcieradła i naciągnęła je na siebie. Wyglądała jak najprawdziwszy duch! Kajtek aż podskoczył z radości.

– Chodź – powiedziała skarpetka. – Zaprowadzisz mnie do waszej kucharki.



Było już po kolacji, więc kucharka kończyła pracę. Siedziała sobie, popijając herbatę i czytając kolorową gazetę, w której słynny jasnowidz zapowiadał koniec świata. Gdy doszła do słów: „Czeka nas wiele zjawisk paranormalnych”, w drzwiach kuchni stanęła skarpetka przebrana za ducha.

– **Huuuuuuuuuu**

– zawyła złowrogo.

– **Huuuuuuuuuuuuuuuuuuuu!**

Kucharka zamarła. Była tak przerażona, że nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa.

– Huuuuuuuuu, przyszedłem, by ci powiedzieć, że kisiel jest wstreeeeętny! – wyła skarpetka.

– Dzieci nie chcą jeść kisieeeeeeeeeeu. – Schowany za drzwiami Kajtek musiał sobie zatkać usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

Następnie Kajtek i duch-skrapeta udali się do gabinetu lekarskiego.

– Dzieci się nuuuuuuuudzą – zawyła skarpetka, ale pan doktor, choć trochę zdziwiony, wcale nie wyglądał na przestraszonego.

– Naprawdę? No to bardzo niedobrze – powiedział. – Jak dzieci się nudzą, to dłużej chorują. Musimy zatrudnić kogoś, kto by dzieci rozweselał.

A potem nagle pociągnął za brzeg prześcieradła. I zobaczył wyszczerzoną skarpetkę, która wyglądała tak zabawnie, że sam parsknął śmiechem.

– No i gites majonez – powiedział. – Będiesz na naszym oddziale specjalistą od rozweselania dzieci.





Tak też się stało. Od tego dnia skarpeta – nazywana odtąd doktorem Skarpetą (dostała nawet specjalną plakietkę, na której to było napisane) – zabawiała chore dzieci w szpitalu. Gdy wykonywała swoje magiczne sztuczki, maluchy śmiały się na całe gardło.

No i co na to powiecie? Znacznie szybciej wracały do zdrowia. Bo w tym starym powiedzeniu, że „śmiech to zdrowie” jest bardzo dużo prawdy. Nie ma powiedzenia „nuda to zdrowie”, no niestety...

A Kajtek? Gdy następnego dnia jego tata przyszedł z wizytą, zastał swojego synka w bardzo dobrym humorze.

– Cześć! – zawołał chłopiec. – Dziś dali nam budyń waniliowy! Wszystko zjadłem!

– No to pięknie – ucieszył się tata i po raz pierwszy od paru dni się uśmiechnął. Miał tym bardziej powód do radości, że pan doktor powiedział mu, iż już niedługo będzie mógł zabrać Kajtka do domu.



Epilog

Tymczasem na drugim końcu miasta, Mama robiła kolejne pranie.

– Gdzieś ty znowu posiada drugą skarpetkę w kropki, powiedz mi, Be?

– Nigdzie. – Córeczka wzruszyła ramionami. – Przed chwilą jeszcze tu była.

– Była, była, ale się zmyła – irytowała się Mama. – Gdzie jest teraz w takim razie?

– No nie wiem... Może poszła do lasu i została opiekunką wronich piskląt? A może tropi złodziei? – zastanawiała się dziewczynka.

– Taka skarpetka w kropki? Coś ty! – Mama nie była przekonana.

– No to może została filmową gwiazdą lub słynnym politykiem?

– E, nie. – Mama pokręciła głową – Ona mi bardziej wyglądała na kogoś, kto lubi płatać figle. Myślę, że raczej została specjalistą od żartów albo iluzjonistą.

– To możliwe. I właśnie teraz, gdy my tu robimy pranie, ona wyciąga królika z kapelusza... Pamiętasz mamusiu, co powiedział pan hydraulik: te pojedyncze skarpetki mogą być absolutnie wszędzie.



– Tak... – Mama zamyśliła się głęboko. – Miejmy więc nadzieję, że dobrze się im powodzi. W każdym razie, życzymy im dużo szczęścia!